

**JÓZEF IGNACY
KRASZEWSKI**

CAPREÄ I ROMA

Józef Kraszewski

Capreä i Roma

«Public Domain»

Kraszewski J.

Capreä i Roma / J. Kraszewski — «Public Domain»,

Dzięki Józefowi Ignacemu Kraszewskiemu przenosimy się do starożytnego Rzymu za panowania rzymskich cesarzy Tyberiusza, Kaliguli, Klaudiusza i Nerona, do okresu prześladowania pierwszych chrześcijan. Powieść ukazała się w odcinkach w „Gazecie Warszawskiej” w 1859 roku, a rok później została wydana w wersji papierowej. Jest jedną z dwóch powieści tego autora, których akcja rozgrywa się w starożytnym Rzymie. Drugą z nich jest Rzym za Nerona. W 1881 roku została przetłumaczona na język niemiecki, a w 1902 na język francuski.

© Kraszewski J.

© Public Domain

Содержание

Tom pierwszy	5
Słówko wstępne	5
KSIEGA I. CAPREÄ	7
I	8
II	12
III	15
IV	17
V	20
VI	24
VII	28
VIII	32
IX	36
X	39
XI	46
XII	48
XIII	53
XIV	58
XV	61
Конец ознакомительного фрагмента.	62

Józef Ignacy Kraszewski

Capreä i Roma

Tom pierwszy

Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo
Virgilius. Ecl. Polio

PANU
STANISŁAWOWI JASIŃSKIEMU
w Warszawie
przesyła w dowód szacunku i przyjaźni
Autor.

Słówko wstępne

W Capri, na zwaliskach willi Tyberyuszowych, powziąłem pierwszą myśl tego opowiadania, które (przejawszy się epoką, na gruzach jej widomych jeszcze), ułożyłem ze wszelkich dostępnych mi źródeł, z tą przyjemnością, jaką sprawia badanie odległych a mało nam znanych czasów i pełnych życia postaci, których imiona brzmią jeszcze do dziś dnia wspomnieniami niezatartymi. Nie przedsiębrałem powieści; chciałem tylko w szeregu obrazów charakterystyczniejszych odmalować tę chwilę, dla całej ludzkości stanowczą, która przedziela dwa zupełnie odmienne światy, dwie wielkie epoki żywota dziejowego. Nie ośmieliłem się też porwać na historię, którą już raz skreśliło energiczne pióro Tacyta z siłą niezrównaną.

Z dzisiejszego naszego stanowiska, te pierwociny chrześcijaństwa, wśród rzymskiego świata, przedstawiały mi nad wszystkie zajmujący moment, nadzwyczajnym przeciągający urokiem. Na nieszczęście, szczupła garstka imion i podań została nam z tej epoki. Akta pierwszych męczenników prawie nic nie dostarczają do tego czasu; trochę w Filonie i Józefie, w *Aktach Apostolskich*, w późniejszych pisarzach, Euzebiuszu, Tertulianie, w żywotach świętych i tradycjach miejscowych – oto wszystko co pozostało z tej tajemniczej chwili. Historia Kościoła w pierwszym wieku pełna jest cudów i mroku; strona też ta obrazu naszego jest równie tajemniczą i epizodyczną... kolebkę osłania ciemność, której fantazja rozdzierać nie ma prawa. Pogański natomiast świat maluje się nam jasno, z rzeczywistością ziemskich zjawisk, z najdrobniejszymi swojego żywota szczegółami, w Tacycie, Swetoniuszu, Pliniuszu, Senecie, w Dionie Cassiuszu i mnogich pism ułamkach, pomnikach, napisach, odnoszących się do tej epoki. Tu znowu wybór tylko był ciężki, a artystyczne połączenie tej rzeczywistości jaskrawej z ideałami mglistymi, nieskończenie trudne. Czerpaliśmy na odtworzenie całości ze wszystkich znanych pomników, użyliśmy wszystkiego co wspomódz mogło, najwięcej jednak opieramy się na źródłach współczesnych, lub jak najbliższych epoki. Zwiedzenie miejsc dało nam gotowe tło i niemal widzenie jawne przeszłości, której tu jeszcze mnóstwo pozostało śladów żywych i wybitnych.

Chcieliśmy rzecz naszą dokonać sumiennie – przedsięwziętą z miłością prawdy, zacętą z zapałem, rzucamy z żalem prawie, życząc czytelnikom, aby tyle znaleźli przyjemności w czytaniu tego studium, ileśmy, kreśląc go, doznali; prosimy ich jednak, by nie zapominali, że im wcale nie obieujemy powieści...

d. 8 Czerwca 1859
z Żytomierza.

KSIĘGA I. CAPREÄ

I

Wśród najpiękniejszego morza w świecie, jakby z roztopionych ulanego lazurów, pod najczystszeń niebem południa, u brzegu okrytego drzewy pomarańczowemi, na których świecą wiecznie złociste owoce, leży jak olbrzymi sarkofag na grobowisku przeszłości, wyspa skalista, ostremi szczyty wspinając się ku niebu, stromemi ściany kamiennemi zanurzona w wodach, przyglądająca się niedbale z jednej strony Tyrrheneńskiemu morzu, z drugiej Cumańskiej zatoce.

To Capreä... uroczy kątek ziemi, oderwany od ładu umyślnie, aby swobodnie mógł dumać i sam być panem sobie. Jakże mu tam ślicznie na téj płycie szafirowej, gdy się cały zarumieni od zachodzącego słońca, a złociste promienie, wskroś przenikając powietrze, otoczą go aureolą jasności!

Wyspa ta stoi z daleka, jakby na straży cudnej zatoki, którą starożytni Craterem, to jest *czarą*, zwali; jak czara bowiem zatacza się kolisto i jak ona poi najpiękniejszym w świecie widokiem. Brzegi całe Crateru okrywają gmachy, portyki, świątynie i piękniejsze nad nie drzewa zielone. Na starém tém, od wieków zamieszkanem wybrzeżu, przed tysiącem ośmiuset laty jeszcze może wdzięczniej niż dziś śmiało się niebo nagromadzonym tu przepychom.

Po wzgórzach i dolinach bieleły o jasnych i purpurowych kolumnach wille rzymskie, z rozkosznymi perystylami, obwieszane winem i bluszczami, świątynie ze złocistymi dachy, kolisty amfiteatrów stopnie, zawieszane nad morzem łaźnie i kosztownym kamieniem wykładane pieczary.

Jeszcze naówczas groźny wybuch śpiącego od wieków wulkanu nie rozerwał starego Wezuwiusza na dwoje i nie wyszczerbił boków jego, gruzami i ruinami góry zasypując miasta, tamując rzeki, równając doliny.

Na wyniosłych brzegach, spokojnej góry, od dawna wystygłej, zielone rozkładały się gaje i winnice, bieleły domki i dwory rzymskich wyzwolenców i lubiących wieś starców, którym się Rzym uprzykrzył... pod sam prawie wierzchołek ciągnęły się budowle, zielenią poprzedzielane, galerie, kolumnady i wschody, w tajemnicze zakątki wiodące.

W pośrodku zatoki, pod wzgórzem, które się wzniosłej dźwigało, między górą Gaurus a Wezuwiuszem, stara Sirene, późniejsza Parthenope, królowa Campanii wesoła, wznosiła się różnobarwnymi mury swemi.

Jak naszyjnik pereł, rozsypane brzegiem morza gmachy marmurowe, tworzyły owe miasto rozkoszne, do którego wzdychali rzymscy patrycyusze, mieniając tu rzymską togę i powagę na grecką suknię i lekkość.

Paleopolis i Neapolis, złączone w gród jeden, zabywszy dawnych sporów, koronowały się ogrodami i palmami, i uśmiechały do siebie, słuchając śpiewu syren, na szumiących ognistych falach przyplływających do brzegów. Wśród wspaniałych willi, połączonych z sobą, wśród ciasnych ulic, ostawionych kolumnami z afrykańskich marmurów, wśród ogródków ocienionych drzewy pomarańczowemi, rozłożystemi figami i morwami, poobwieszanemi winną macicą, gdzie niegdzie z białemi, do pasa w purpurę odzianymi słupami, o złocistych kapitelach misternych, wznosiły się świątynie Neptuna, Diany, Merkurego, Cerery, Dioskurów... Na najwyższym szczycie królowała miastom maleńka, pięknych kształtów greckich, Sacella, którą żeglarz zdala witał, obiecując ofiarę po wesołym do brzegów przybiciu.

Około Augustale, skupiały się bazylika, fontanna, forum, teatrzyk i wotalne ołtarze i posągi opiekuńczych Bogów Grecyi i Rzymu.

Inaczej tu wszakże było niż w starych miastach, w których od wieków Tuskwie tylko się gnieździł i gdzieś rzucił okiem, wszędzie znać było ślad przejścia Greków, piętno jońskich wychodźców, którzy tu z sobą swą sztukę, umiłowanie piękna i nieśmiertelny wdzięk geniuszu swego przynieśli. Naczynia, z którymi niewiasty szły po wodę do marmurowych fontann i studni i te, które stały na murach u wnijsćia ogrodów, posągi w wyźłobieniach domostw, kolumny u drzwi skromnych budowli, miały ten kształt prosty a wytworny, ten rysunek wdzięczny a młody, których tajemnica

z Hellenów życiem umarła... Każdy słup, każdy marmuru złomek powiadał, że Grek go rozmierzył, ustawił, wyciosał, dobrał barwę do otaczającego nieba i ziemi.

I nic nie było wdzięczniejszego nad to miasto pół-greckie na ziemi rzymskiej, pod tém niebem cichém, ukryte w koszu liści i kwiatów, szczęśliwe, pijane, na którego horyzoncie zdala rozbiegłe góry Taburnus, Gaurus, Vesuvius i dalsze Lactarius'a ramiona, błyszcząły wszędzie domy, świątnicami, portykami i wieczną zielenią drzew cienistych.

Chciało się wierzyć, poglądając na to wybrzeże rozkoszne, na kraj pełen kadzideł i pieśni, że z wieczorną falą wypłyną białe syreny z niebieskich topieli i zaśpiewają tęskną pieśń wiodącą do morza głębi.

Jakby dla podchwycenia tego śpiewu uroczystego bóstw morza, które na świecących falach w księżycową noc widywali, już tylko majtkowie, spoczywający w łodziach u brzegu – wszędzie do koła Crateru cisnęły się aż na piasek miasteczka i ville.

Miejsca tu brakło rzymskim rozpieszczeńcom, tak każdy z nich musiał tu koniecznie mieć gdzie odpocząć; łaźnie ich i domki i spelunki chłodne występowały aż w morze, niemal na falach pływając.

U stóp zielonego Wezuwiusza, strojnego w winnice, leżała, w gajach i ogrodach cała, rozkosznisia Pompeja, miasto kupców i handlarzy, wesoło używających żywota; na jój przedmieściach *Pagus Augustus Felix*, wieś wyzwoleńców, ulubieńców, sług i weteranów Augusta, była przytułkiem dworu starego Cezara.

Bliziej brzegu morskiego *Hercules Porticum*, kąpało się w samych wodach zatoki, z Retiną, portem swym, wspinałym teatrem, bazyliką i świątyniami...

Daliej postępując ku Surrentum, miastu Syren, białe mury Stabii, u stóp Lactariusowej góry, kasztanowemi lasy pokrytej, rozrzucone były domki wesołe wśród gajów pomarańczowych, a świątynki wiejskie gdzie niegdzie podnosiły się, to przeglądając w morzu szafirowém, to na tle ciemnej gór zieleni malując...

Minawszy Surrentum i Herkulesowy ołtarz, na najwydatniejszym cyplu ziemi od strony Caprei, na skałach wstępujących w wody cieśniny, wznosiła się świątynia Minerwy.

Wszędzie zresztą, gdziekolwiek rzucił okiem, dymiły ołtarze bóstw rozlicznych, białe słupy małych owych a wdzięcznych, poświęconych bogom świątyniek, które każdy dzień mnożył ku czci coraz nowych mar tysiąca zaludniających sponiewierane Ołympy.

W drugą stronę od Neapolis, długo po za miastem ciągnące się, i jedna przy drugiej nagromadzone zalegały ville pnąc się na góry, zstępując ku morzu, zwieszając po nad falami, w których dla rozpalonych życiem sybaritów szukały kąpieli rozkosznej... Był to las portyków i kolumn i murów piętrzących się jedno nad drugie, to chowających kapryśnie w głębie gór, w pieczarach, skały i groby, by ich zazdrośne nie dojrzało oko.

Droga wiodąca ztąd od Neapolis do Barii, cała, rzecz można, była ulicą pańskich pałacyków podmiejskich, na których stworzenie i ozdoby wysiłały się wyobraźnie i dziwaczne chętki zniewieściałych potomków dawnych Rzymian, dziś przez rozpustę i znikczemnienie przysposobionych do niewoli i uśmiechających upodleniu.

Jedne za drugimi szeregiem, wśród palm, kaktusów, aloesów, winnic i wdzięcznie strzelających z gęszczy ciemnych sosen, z rozpiętymi dachy swych gałęzi, stały owe tajemnicze patrycyuszów i wyzwoleńców przytułki, całe z marmurów, drogich kamieni, muszli perłowych i bronzów... w pół na morzu, pół na lądzie... Daliej, już za Pausilippem, ku Puteolom rozpoczynały się spalone pola *Campi phalaegrei*, pełne widowisk strasznych, buchające podziemnymi ogniami, po których poetyczne latały wspomnienia...

Za to ku morzu jasno było i dla oka wesoło.

Samo nazwanie Pausilippu (rzuć smutek) powoływało pielgrzymów, przybywających aby tu o troskach Rzymu zapomnieli i całkiem miękkiemu spoczynkowi się oddali. Każdy też tu przybywał tylko odetchnąć powietrzem wonnym, skapać się w morzu lazurów, posłuchać nocą tajemniczego

głosu śpiewnej fali, zjeść ostryg Lucrińskich, napatrzeć się greckich dziewcząt i skryć przed ludźmi i światem.

I domki te, z cegieł różnobarwnych, z marmuru porfyrów powznoszone, nosiły na sobie piętno jakieś swawolne, które niedozwalało wziąć je za poważne schronienie senatorskie; tu się ciężką zrzucało togę i koturn surowy, a w sukni lekkiej, której Rzym nigdy nie widział, szło po zielonej murawie lub wysłanej mozaiką ścieżynce, żyć pomarańczowych kwiatów oddechem i rzeźwiącą atmosferą morza.

Wszyscy mieszkańcy tych wybrzeżów zgreczonych, aż do Baid,

Brzegów czystym nieprzyjaznych dziewicom¹

tchnęli samą rozkoszą i weselem... do rozkoszy i wesela posługiwali. Dzieci jońskich wychodźców, ludzie tutejsi, ani swój sztuki, ani zniewieściałego nie zabyli obyczajów, i dobrze im było jako nauczycielom wśród Rzymian, uczących się już godność człowieczą sprzedawać za kroplę ziemskiej ambrozyi.

Te ville, które poeta zamkami raczej niż wiejskimi domki nazywa² zalegały często wielkie przestrzenie, ze swymi ogrodami, łaźniami, długimi ulicami, portykami, teatrami i odeonami... z sadzawkami, w których bawiono się tuzząc ukochane rybki i ergastulami, w których zamykano okutych niewolników, z celami wyzwolenców, flecistów, niezliczonej dworni otaczającej pana...

Z góry na górę rzucane łuki, przeprowadzały rozpieszzonego starca bez znużenia po grzbietach marmurami wykładanych, ku ciepłemu morzu, które na jego posługi do ciemnej wchodziło groty. Wolną pochyłością, litostrotem wzorzystym usłaną, posypaną różami i szafranem, spuszczał się po uczcie upojony biesiadnik do swoich thermów, nie trudząc chodem, powoli, i szedł oddychać wonią drzew rozkwitłych, widokiem czarownej ziemi.

Gdzieś stąpił, gniołłeś z daleka poprzywożone płyty kamieni, wydarte skałom rękami tysiąca niewolników, co je polewając łzami wypolerowali pod stopy pana, opierałeś się o świecące kolumny, o malowane ściany, szedłeś pod stropami w złociste przyodzianemi koszyki...

Po ścianach nawet zewnętrznych tych rozkoszy przytułków, na jaskrawém tle rzucone skakały powietrzne tancerki, greka pędzlem kreślone, unosiły się hymery uśmiechnięte, dzieciaki skrzydlate, bachantki z rozpuszczonemi włosy.

Nic tu nie wyprowadzało myśli z tego zaczarowanego koła, w którym krążyła, tworząc sobie świat pokoju i rozkoszy, i tu prędzej niż gdzieindziej zapomnieć było można, że słońce nie zawsze świeci ziemi a szczęście życiu ludzkiemu.

Jeżeli zbłąkany filozof lub skwaśniały retor przyszedł dowodzić znikomości ziemskich rzeczy, prędko upajały go wonie, rozmarzały uśmiechy, śpiewy i wino i kończył bełkocąc nieprzytomny:

– *Carpe diem!* chwytaj dzionek co ulata...

I brzegi wciąż rozlegały się pieśniami, które gdy przerwał jęk głuchy, to tylko by po nim pieśń jeszcze dźwięczała weselej.

Ażebym ciężko po wschodach, wracając z Baid, nie przebywać góry Pausilippu, boki jej przedarto na wylot, i długie, ciemne przejście wiodło przez jej łono ku polom ognistym, ku źródłom gorącym...

Daliej, nad drugą zatoką stały handlowne Puteole, grecka Dicaerchia, ze swą starożytną świątynią i thermami Serapis'a, przybytkiem Neptuna i amfiteatrem... Od stóp Gaurus'u aż do Baid, wciąż idąc brzegiem, przechodziłeś jedną ulicą villi, jeden wieniec domów oprawnych w krajobraz,

¹ *Brzegów czystym nieprzyjaznych dziewicom* – *Littora quae fuerunt inimica puellis*. Virgilius [w rzeczywistości jest to fragment elegii 11. z I ks. późniejszego nieco od Wergiliusza poety, Propercjusza: ...*littora quae fuerant castis inimica puellis*...]. [przypis autorski]

² *poeta zamkami raczej niż wiejskimi domki nazywa* – *Non villas esse sed castra*... [cytat z Seneki *Listów moralnych do Lucyliusza* (*Epistulae morales ad Lucilium*), 51, 11; mowa o budowanych przez Gajusza Mariusza, Pompejusza i Cezara willach w Baiach, które stawiali na szczytach gór; przez swoje umiejscowienie i typ budowli, wydawały się nie willami, lecz raczej warowniami]. [przypis autorski]

jakiemu świat może nie ma równego. Tu były przez Virgilego opiewane i tajemniczemi uświęcone podaniami grotty, jeziora, rzeki, a świeżo nad niemi pieśń Augustowego ulubieńca brzmiała jeszcze nad niemi długo przeciągnioném echem. Dalej i jeszcze dalej stały odwieczne Cumy, od których bramy szczęśliwej droga słana kamieniem, otoczona grobami, wiodła aż do Rzymu, i z stolicy na Campanii brzegi znużonych mowami na roztrach, siedzeniem w Capitolu, lub choćby wielkością swoją Konsulów, tryumfatorów, zwycięzców, których własne szczęście dławiło.

II

Ale nad wdzięczny brzeg zatoki Cumańskiej, nad rozkoszne ville Pausilippu, Meseny i Baii, milszém jeszcze schronieniem była Capreä, co z daleka wyglądała tylko na czerwoną skałę, najeżoną świątyniami i kolumny, a zbliżka była jak gniazdo najeżone w koło suchemi gałęzmi, w środku miękko wystłane puchami i pióry.

Na przeciw przylądku i świątyni Minerwy, nieopodal od lądu, od którego zdawała się oderwaną umyślnie, spoczywała wyspa różowa jak zmęczony gladiator w cyrku; niedostępna zewsząd i pionowemi skały odcięta, z dwóch stron tylko, od Neapolis i Sycylijskiego morza, dwa szczupłe miała porty a raczej liche dla statków przystanie, w których od burzy nawet skryć się nie było można. Większe też łodzie, których na ląd nie podołano wyciągnąć, uciekały w zatokę ku Surrentum, nie śmiejąc tu z akwilonami wojować...

Mimo że wspaniałości Caprei kryły się w jój dolinach lub niedostępne oku czepiały przy skał szczytach, tyle ich skupiło się na tym szczupłym ziemi kątku, że zdała nawet poznałeś w niej villę Cezarów, ich rozkazem zmienioną w jeden ogród rozkoszny i marmurowe zamczysko.

Nad cyplem ku Surrentum, wysoko, widać było wieżycę białą i gmach Jowiszowej villi, piętrzące się do góry, na szczycie Anacapri widniała świątynia bóstwa, przezroczysta, podparta słupów wiązką, a po bokach skał tu i ówdzie białe kolumny szeregami stały niewolnice pilnując drogi, która, to wschodami marmurowemi, to gładką płaszczyzną, spuszczała się w zakryte doliny, opasując gór boki.

Nie było tu prawie piędzi ziemi, z którejby przemyślny Cezarów budowniczy nie korzystał, aby tę ustroić uczynić wspaniałą i rozkoszną: powykuwano skały dzikie, obleczono grotty ścianami lśniącemi, przedarto drogi w gór wnętrzościach, poczepiano ulice na niedostępnych wyżynach, a pracowita dłoń ludzi, których życie za nic się liczyło, wyłożyła po jednemu drobnymi kamyczkami ścieżki, któremi Cezar miał chodzić, misternie i wdzięcznie, aby oko Augusta, padając na ziemię, nie obraziło się jój nagości widokiem.

Wśród zieleni kwiatami okrytych gdzie niedzie ołtarz występował biały, lub posąg w postawie poważnej, szemrała fontanna, oblewając nimfy skamieniałe i rozigrane delfiny... to znowu na białych, świeżo młotem rzeźbiarza obnażonych, marmurach, umiejętny ogrodnik porozrzucał sploty zielone i zmusił je uściskiem czułym chłodny opasywać kamień, jak czule i niewolniczo tulili się wówczas ludzie do zimnych stóp możnych i ulubieńców Cezara.

Ciszę uroczystą przerywał tylko dalekiej szum fali i szmer wodotrysków, lub śpiew przykazany niewolnikom i grecki flet wygnańca, tęskniącego za Helladą... ale cała siła posługaczy pańskich nie mogła powstrzymać niekiedy lotu i krzyku ptaków, które złowrogo nieraz zakrakały wśród biesiady. Bledły naówczas twarze, posępniał sam Cezar, a astrolog tłómaczył, że ptastwo gdzieś na żer z trupów i cielsk wroga leciało.

Cicho, spokojnie, rozkosznie było na tém łożu, usłaném dla władców Rzymu, znużonych swą siłą hałasem Forum, owacyami i ofiary, i uroczystą powagą palatyńskich gmachów.

W dwunastu wyznaczonych ku temu miejscach, jeszcze Cezar Octawiusz Augustus począł był wznosić, imionami dwunastu głównych bóstw Olimpu naznaczone wille; a po jego zgonie, Tyberyusz rozkazał dokonać tych cudów, które teraz otaczały dobrowolnego drugi raz wygnańca.

Na jednym z najwyższych szczytów przeciw świątyni Minerwy, wznosiły się gmachy, Jowiszową nazwanéj, willi, nad samą morza lazurowego przepaścią. Siadł tu gród cały, biejąc od marmurów i alabastru, świecący od złocien i purpurowych ścian, a obok niego wysoko pięła się wieża strażnica, aby z niej czujne niewolnika oko, po Sycylijskich morzach, od Galii, od Rzymu, od Baii, Miseny, Puteolów, najmniejszą łódkę wyszpiegowało... Często przez całą Campanią rozstawione stosy, murów Rzymu sięgające, zamkniętemu w Caprei władcy dawały znać zażegniete, że czyjaś

tam głowa na rozkaz jego upadła, że nienawistne skończyło się życie... Strażnik z owiej wieżycy, dostrzegłszy ogni, potrząsł pochodnią i obojętny ziewnął, lub rozśmiał się dziko.

Tu był największy przepych, najulubieńsze Cezara mieszkanie; ztąd na dwa morza, dwa światy, na z daleka przyplływające mógł poglądać okręta i zgadywać a wróżyć, co mu one w swych niosą wnętrznościach, niewolników-królów dla tryumfu i wozu, wieść o legionach straconych i krwi przelanej daleko, sycylijskie zboże lub piasek nilowy. A gdy morze było puste i żaden żagiel nie biał na jego błękitcie, oko padało na zaczarowane brzegi Surrentum i dalej ku Herkulesowym portykom, pod stopy zielonego Wezuwiuszu, ku Neapolowi, Puteolom, w opalowych barwach dalekiego krajobrazu szukając rozrywki. I błąkało się po zielonych wzgórzach lesistych, po złocistych dolinach, po różowych gór szczytach, po białych perłach świątyni i domów...

A było gdzie polecieć oku... w jedną stronę aż ku Baijom i wyspom, siostrom stojącym na morzu jak syny gór powietrzne, ku Euploi, Limonie, Nesis, Prochycie i Pitecusie; w drugą ku Posidonium, ku Sykulskim brzegom, ku tajemniczemu południu... Obraz z tej wyżyny widoczny tak był niezmierny, że nawet oku Cezara mógł wystarczyć, marzenie Cezara nasycić.

W tej ustroni, wysoko przyczepionej na skałach, której każdy kamień niewolnicy na głowach dźwigali od brzegów, była i świątynia Jowisza, grecką sztuką wzniesiona na kolumnach z onyxów i alabastru, uwieńczonych złotem, i ołtarz Boga Bogów i cella dla jego kapłana i sto izb dla Cezara dworu, i portyk półmili długi, i łaźnia, do której wiodła biała ulica, nad przepaścią przypięta, i amfiteatr, i tajemnicze *cubicula*, i *xysty* (ogrody), zmuszone rosnać na twardej opoce, i kwiaty, i woda, i co człowiek wymarzyć, a niewola wykonać może.

Na głębokich zabudowana grotach, w których czarnej paszczy stada spędzonych ludzi jęknąć nie śmiały, by ciszy pana nie przerwać, willa owa zataczała swe mury po nad same przepaście o kilkaset stóp nad morzem dźwignięta, a dziwaczna myśl jakaś i zachcenie otoczyły ją zewsząd wysłanemi lithostrotem drogami, tak, by krawędzi nagiętej nie zostawić ziemi. Miejscami odgradzała tylko od powietrza złocona balustrada, obwita powojami i bluszczem, gdzieindziej umyślnie nikła zaporą i u stóp straszyla przepaść ciemna.

Na co tylko przepych wysoce ukształconego ludu, który pod swém panowaniem trzymał świat cały, zdobyć się może, wszystko to na góry, plecami zgarbionych ludzi, dźwignięto. Były tam i greckie posągi, rzekłbyś, zaczarowane postacie, które Bóg jeden stworzył, a drugi skamienił, i naczynia wpeł przezroczyście, barw dziwnych, rzeźbione lata długie w cudne wzory i postacie, i lane z ciemnej miedzi korynckiej olbrzymy i maluczkie, droższe od nich posążki, Athenom wydarte.

A słupy, które podpierały, strop, który izby pokrywał, posadzki, co je wyściełały, wszystko to złotem, purpurą, drogim kamieniem przyoblec się musiało.

Gołe nawet murów ściany sztuką czarodziejską do życia powołał artysta, i choć płakał może, gdy skuta dłoń jego zarysowała na nich postacie, one śmiać się musiały, i jak sen ulatywać w powietrzu. Na purpurze i fiolecie, nagie dziewczątka zdawały się stworzone, by młodość wiecznie przypominać... choć to wiekuiste ich wesele urągało się starości... Obok nich szczebiotały ptaszęta malowane, chłopcy i dzieciaki zginały się pod ciężarem róż i owoców rumianych.

Na skwar były tu izby chłodne, na chłód łaźnie gorące, a wiekuista ucztą, zawsze zastawna, czekała tylko znaku pana, by przed nim ze stołami się ukazać...

Wschody szerokie jak ulice Rzymu, a łagodne, by i starzec mógł się po niej przechadzać, jeżeli mu się ramiona sług przykrzyły – rozbiegały się ztąd w różne strony po całej wysepce, do jedenastu willi, równie strojnych i wspaniałych, jak Jowiszowy dwór Cezara.

W zielonych gajach pomarańcz i rozrostłych figach, oczepianych winną latoroślą, po cichych dolinach, w złomach skał tajemnych, w pieczarach, które natura na pół wyżłobiła wiekową pracą lub morze wybiło powoli, falą nieustanną zużywając twardą skałę – kryły się owe rozkoszne ustronia, których przepych jeden coraz inne dla przypodobania się przybierał postacie.

Przy każdej z tych willi wznosiła się świątynka, *sacella* boga, któremu była poświęconą, były wodotryski chłodne i drzewa rozrastały się posłuszne – ale ściany jednych okrywał marmur jasny

jak śnieg, drugich kamień, co jak krew wyglądał zastygła, mlecznemi poprzerzynany żyłami, innych zielone płyty lub złociste kwadraty dziwnymi wzory w łonie ziemi obleczone...

Wyobraźnia budowniczych co się silili na nowe, niespodziane, niewidziane, – mogąca się tu rozpasać swobodnie, ... cuda zrodziła, przypochlebając się panu, wyszukując kształtów olbrzymich, barw nieznanych, wysadzając każdą stopę, to świecącymi kryształami, to różnobarwną polewą, to całami bryłami, na których podania stariej Grecji sny wykuł w nieskończonej wstędze, gmach opasującej do koła.

Już tu ani słup, ani ściana nie służyły rozmiarów urzędowych, których w poważnych budowach trzymać się musiano; – łuki sklepień wspierały się zuchwale i śmiało, kolumny bujały jak drzewa młode, a miasto surowego ich kapitelu, rozrastał się wierzchołek w palmowe gałęzie, w wieńce i sploty. Wschody jedne czepiały się na dachy, drugie spuszczały w podziemia i połowa budowy schodziła z nimi w wewnętrzności gór, kryjąc w nich cuda, których się ludzkie oko z powierzchni domyśleć nie mogło. Ryjąc się w głębinach tajemniczych, budowano w nich pałace ciemności, skryte rozkoszy gniazda, zmuszając wodę by je oblewała, powietrze by je napełniało wonią.

Lecz któż potrafi dziś opisać wspaniałości wyspy, której każdy dostępny kątek przeistoczony został, przekuty na jedną całość olbrzymią, co znużonego życiem starca kryć miała i rozkosznie pieścić?

Nawet przepaście użyte zostały dla stopy i oka, zwyciężone pracą, zmuszone okryć się zielenią, upinać kwiatami; nawet dzikie skały wybrzeży dźwigały po nad mórz głębiną galerye, z których zwieszony nad falą lazurową mógł człowiek marzyć, że niebo ma pod nogami...

Morzu kazano wniknąć w pieczar głębie i wcisnęło się posłusznie, rozstąpić się kamieniom i prysły, przetworzyć ziemi i stała żyzną od krwi i potu ludzkiego.

Ilu tam ofiar nieznanymi kości zdruzgotały głowy, ile ich pożarła otchłań morza z kamieniem u szyi, ile serc pękło wśród trudu – nikt nie liczył, ale gmachy powstały, śmiały się i świeciły.

Z Grecji przywleczono rzeźby wydarte ziemi, co je zrodziła i kochała, z dalekich światów kamienie na podnóża, złoto na opony, purpurę na wysłanie; a gdy się zamarzyło Cezarowi w zwierzyńcu ujrzeć lwa afrykańskiego lub krokodyla w sadzawce, szedł okręt po nie i wiozł je do stóp pana.

Wśród tych przepychów, jedni mieszkańcy, starzy greccy, potomkowie Telona, wnuki Osków i Tyrryńczyków, nie mieli gdzie się podziąć i schronić; szczupła ich garść ustąpić musiała na wierzchy pustych gór, w szczeliny kamienne, w dzikie doliny, których nie dosięgła wola władcy, ni oko jego posługaczów; wyrócone swe domostwa po kamieniu przenieśli dalej, rozpierzchając się przerażeni.

A plemię to zmieszane z wielu, w Hellenów prawie zmienione, grecki obyczaj przyjąwszy – było zaprawdę jednym z ludów najpiękniejszych i najhojniej obdarowanych na ziemi. Na obliczu jego czytałeś wypisane pochodzenie szlachetne narodu, który bogi czyniąc na podobieństwo swoje, sam swym bogom był podobny.

Może ten urok wdzięków mieszkańców Caprei sprowadził tu w ostatnich chwilach życia starego Augusta, może z nim połączona prostota obyczajów, wesele dziecięce i niebo zawsze pogodne, jak czoła tych ludzi. Bo w twarzach niewiast i dzieci greckie chodziły posągi, a starzy w swych łachmanach mieli jeszcze powagę senatorów, której już w Rzymie nie było.

A lud to był cichy, spokojny, posłuszny i szedł tak na śmierć jak do uczty, nie zdziwiony, nie złamany; obyczaje jego miały woń pierwotnych czasów Saturna, strój był stary, jadło proste, pieśń smutna.

I byli podobni odwiecznym wygnańcom, których już opuściła pamięć, a w piersi tylko została tęsknota.

III

O losach tego ziemi kątku mało dotąd powiedzieć było można; wcześniej bardzo nad wesołą zatoką Posidonii i Neapolu znaleźli się mieszkańcy, którzy blizkie brzegów wyspy objęli. Od ośmiu już wieków naówczas liczono przybycie Greków, którzy wzniesli Cumy i Neapolis i Dicaerchiją; oni też owładli wyspami, a Capreä i Ana-Capri, zaludniły się ich dziećmi rozproszonemi po skał szczytach.

Pierwszy Oktawiusz Augustus, pod koniec życia szukając spoczynku i rozrywki, gdy przebiegał Campanię szczęśliwą, ujrzał tę konchę morską, i domyślił się, że w niej zamkniętą perłą być można.

Swetoniusz z wielkim wdziękiem opisuje te zabawki wyżytego i zniewieściałego człowieka, który tu prawie dziecinnych szukał rozrywek; obraz to tak żywy, że nic doń dodać nie można.

„August, pisze on³, przebiegał wybrzeża Campanii i wyspy poblizsze, spędził dni cztery w Capreä, w najzupełniejszym spoczynku i najweselszém usposobieniu. Raz, gdy przejeżdżał się na statku w zatoce puteolańskiej, do której był właśnie Alexandryjski okręt zawinął, podróżni i majtkowie, głowy postroiwszy w wieńce, w szatach białych, pałac ofiarne kadzidla, podnieśli głosy na pochwały Augusta, życząc mu wszelkiego dobra, gdyż, jak mówili, jemu winni byli życie, swobodę żeglugi i bogactwa swoje. Te pochwały tak mocno rozradowały Augusta, że między swych towarzyszków czterdzieści sztuk złota rozdać kazał, zobowiązawszy ich przysięgą, że żaden daru tego na nic innego nie użyje, tylko na kupno towarów u Alexandryjczyków. Następnym potem dni, między innymi podarunkami, rozdawał togi i pallia, z rozkazem, aby Rzymianie po grecku a Grecy po rzymsku odziewali się i mówili. Potem w Capreä przypatrywał się pilnie ćwiczeniom ephobów (młodzieży), z których dawnego gimnazjum znaczna się jeszcze liczba starym obyczajem wprawiała. Dał nawet dla nich ucztę w swęj przytomności i wyraźnie zalecił, aby mogli swobodnie owoce, resztki biesiady i inne podarki wrywać sobie i bawić się nimi. Jednym słowem, żadną nie wzgardził zabawą. Sąsiednią Caprei wysepkę Apragopolin (miastem próżniaków) nazwał, z powodu swobodnego żywota, jaki tam wiedli ci dworacy, którzy się na nią schronili. Z ulubieńców jednego, imieniem Masgabas'a, zwykł był nazywać *Ktistes*⁴, jako niby założyciela grodu. Siedząc u stołu, postrzegł, że grobowiec tego Masgaby, przed rokiem zmarłego, wielka liczba ludzi z pochodniami otaczała, i wiersz z tego powodu utworzony, przywiódł głośno po grecku:

Założyciela grób widzę płonący⁵

a zwróciwszy się do Thrasylla, ze dworu Tyberyuszowego, który przy stole naprzeciw niego siedział a rzeczy był nieświadomy, spytał go, czyjby ten wiersz mógł być? I gdy się Thrasyllus wahał z odpowiedzią, August dodał wiersz inny:

Widzisz-li Masgabę uczzonego pochodniami⁶

i o ten znowu się zapytał. Na co gdy Thrasyllus nic innego odpowiedzieć nie umiał, prócz, że czyjebykolwiek wiersze były, są doskonałe, wybuchnął śmiechem wielkim i począł sobie wesoło żartować. Wkrótce potem popłynął do Neapolu, ciągle dręczony bolem wnętrzości.”

³ August (...) przebiegał wybrzeża Campanii i wyspy poblizsze... – Suetoniusz, *Augustus* [w *Żywotach cesarów (De vita Caesarum)*], 98. [przypis autorski]

⁴ *Ktistes* – w oryg.: κτίστην. [przypis edytorski]

⁵ *Założyciela grób widzę płonący* – *Ktistu de tymbon eisoro pyrumenon* [w oryg. *Κτίστου δὲ τύμβου εἰσορῶ πυρούμενον*]. [przypis autorski]

⁶ *Widzisz-li Masgabę uczzonego pochodniami* – *Horas faessi Masgaban timomenon* [w oryg.: Ὅραξ φάεσσι Μασγάβαν τιμούμενον]. [przypis autorski]

Wspomnienie Augusta i tych chwil wesela, spędzonych z nim w Caprejskiej ustroni, może spowodowało Tyberyusza, by sobie cichą Capreę obrał przytułkiem na starość; tak jak Augusta przywiązanie do téj wyspy i zamianę jéj na Enaryą, zazieleniony na jego przybycie stary dąb wywołał...⁷

Oba myśleli, że im jeszcze nowa tu młodość rozkwitnie...

⁷ jak Augusta przywiązanie do téj wyspy i zamianę jéj na Enaryą, zazieleniony na jego przybycie stary dąb wywołał – Suetoniusz, Augustus [w *Żywotach cesarów (De vita Caesarum)*], 92. [przypis autorski]

IV

Była to właśnie chwila, w której wieszczce prorocstwo Mantuańskiego łabędzia ziszczało się nad światem; Oktawiusz Augustus zmarł, zostawując z uśmiechem władzę Tyberyuszowi, do zgonu artysta, przewidując, że po świetnych dniach jego panowania, następne złowrogie, uwydatnią jeszcze wielkość, której chciał pamięć uwiecznić. Szukał w następcy nie pana dla Rzymu, ale dla dziejów kontrastu, dla siebie większego blasku... chciał, by noc była czarną, a wspomnienie dnia przy niej jaśniejsze.

Dziwny zaprawdę był stan społeczeństwa w tej chwili wielkiego przełomu, kończącego jedną epokę, rozpoczynającego nową. Nikt wymowniej i silniej nie skreślił jej obrazu nad Tacyta, którego oburzenie maluje na co zszedł Rzym w tych czasach rozpusty i spodlenia.

A jednak był to wiek co do wykształcenia i cywilizacji jeden z najświetniejszych w dziejach, wiek, w którym Rzym najszerzej i najsamowładniej panował, chłonał i jednoczył w sobie wszystkie żywioły ludzkości, przyswajał mądrość Grecji i Wschodu; wiek, w którym społeczność doszła do form najwyszukańszych, do życia najwykwintniejszego, a umysły, wyćwiczone sztuką, filozofowały najsubtelniej o wszystkim, dobierając słów jak pereł, jak dźwięków dla ucha, i myśli szerokie otwierając przestrzenie.

Cały świat, po za granicami tej cywilizacji, strojnej jak dworka zalotna i rozpieszczonęj we wszystkim, zwał się barbarzyńskim (choć Grek jeszcze i Rzymianina po cichu tym imieniem piętnował) – uprawa umysłowa stała wysoko, ale wiara dawna ledwie się w formach zużytych trzymała, a filozofia wszystko już zburzywszy, nic jeszcze na to miejsce wznieść nie mogła, jako najwyższy szczebel wiedzy uznając sceptycyzm, a za najwyższą moralność chłodny i samolubny stoicyzm.

Świat ten był świetny powierzchownie, rozmiłowany w przepychu, wymyślny w upodobaniach – żywot wiódł pełen najwyszukańszych przyjemnostek, ale stał zarazem u granicy, po za którą całą siłą swego rozumu, wiedzy i wykształcenia, przejść nie mógł. Widać to było z tego miotania się szalonego, z tych wyprzeń śmiertelnych, któremi usiłował daremnie przekroczyć granice możliwego i dostać się w jakieś krainy nieznanne.

Lecz ani ludzie świata i władzy, ani filozofowie i retory na tę chorobę nieuleczoną poradzić mu nie mogli – sceptycyzm zabijał ducha, stoicyzm nie żywił nic prócz dumy, a konający jeszcze przez wstyd jakiś po starorzymsku bohaterowie, już nawet jak Sokrates koguta Eskulapowi na ofiarę dać nie mogli, bo ni w Eskulapa, ni w ofiarę nie wierzyli.

Bogowie starzy stali wprawdzie na dawnych ołtarzach, ale obok nich, ludzi zszarzanych, niewiasty z nierządów znane, ubóstwiano co chwila i bóstwo poniewierało się w błocie. Wszystkie Bogi całego świata, Egiptu, Grecji, ludów barbarzyńskich, stawiano na pustych ołtarzach, ale nikt już w nie nie wierzył... Bóstw było bez liku, a Boga nie było.

Westalki postradały swą świętość i czystość, kapłani swą władzę, zamilkły Sybille, a Rzym jak świat zdawał się oczekiwać nowego porządku, nowęj idei, nowego zbawcy, któryby odrodził przegniłą do głębi społeczność.

Te przecucia ludzkości, dające się postrzegać w samym nawet Rzymie – nie wiedzieć jak i z czego powstałe, odzywają się po świecie całym. Magowie czują Narodzenie Pańskie w dalekiej krainie na Wschodzie i idą w długą pielgrzymkę, aby Zbawcę powitać; Herod przeraża się prorocstwem, i dzieci, między którymi ma się znajdować przyszły Pan świata, mordować każe; księgi Sybillińskie mówią o przyjściu Syna Bożego, a wieszcz Mantuański, z grobowca nad brzegiem morza, które patrzyło na rozpustę i zniewieściałość rzymskich patrycyuszów, woła tajemniczymi wyrazami:

Nowy przychodzi rzeczy porządek...

Nowe pokolenie z wysokiego zstępuje nieba⁸

Ten nowy rzeczy ziemskich porządek, to zjawienie się dziewicy, to dziecię niebios wysokich, widzi nie tylko wieszcz co je zwiastuje – czuje najlichszy z ludzi owego czasu, pojmujący, że świat tak dłużej, bez nadziei, bez stępu, bez życia pozostać nie może. Wszyscy wiedzą, że coś wielkiego stać się ma światu, wszyscy pragną jakiejś prawdy, jakiegoś życiodawczego słowa... i oczy przecuciem zwracają na Wschód, jak ku nowemu wniść mającemu słońcu, które wieszczka poprzedziła jutrzeńka.

Nigdy też może ludzkość ciężiej nie bolała. Stojący na czele ludów Rzym, zamiast im przewodniczyć, ssał ich i korzystał z poddanych dla swych rozkoszy i dziwactw. To, co się zwało naówczas barbarzyńców światem, jeszcze pierwotnych praw Bożych piastowało świadomość, jeszcze coś kochało, jeszcze czuło godność człowieczą, jeszcze siłą charakteru upadłych napełniało zwycięzców, przypominając sobą starą dzikiego Rzymu dostojność. W tych ludach, z którymi walczone, Tacyt sam widzi cnoty, jakich już próżnoby szukał u siebie, ze wstydem, ale złamany prawdą wyznaje, że się tam uczyć potrzeba czego już Rzymianin zapomniał. Z jego obrazu Romy Cezarów i narodów jój podległych widoczna, że tam prostota obyczaju stawiała wyżej charaktery, niż tu cywilizacja pozorna i zniewieściałość wymyślna. Zepsucie dochodziło do najwyższego stopnia, a wśród niego rzadkie przykłady cnót starych świeciły jak zdumiewające wyjątki; rozpusta złamała tych ludzi, poprzeraiała na pochlebców, przeistoczyła w niewolników, zerwała węzły rodziny i najpoczarniejsze wyradzała codzien postaci, jednej wielkiej stworzyć nie mogąc.

Samo pojęcie cnoty i występku zatarło się do tego stopnia, że powodzenie tylko zwało się już cnotą, a upadek sam był winą.

W łonie patrycyatu Cezarowie mieli sługi najposłuszniejsze swym chuciom, Senat szafował dla nich najwymyślniejszymi kadzidłami, a wierności i męstwa musiano szukać w gwardyi z barbarzyńców złożonej, lub z rozkutyh więzów wyzwolencach.

Brat na brata za grosz lub z trwogi szedł i stawał się donosicielem, syn wstawał przeciw ojcu, a to co było ohydą wprzód, zrobiło się rzemiosłem, i denuncjatorowie sprawiali niejako urząd zyskowny, bacząc tylko na kogo padł wzrok nieprzychylny, by nań rzucić potwarzę, której nikt odeprzeć nie śmiał.

Rzymianin umiał zaledwie jedno jeszcze – umierać mężnie; brał miecz i wbijał go sobie w pierś z uśmiechem; słabe nawet niewiasty zdobywały się na tę przedśmiertną odwagę. Ale i tu już siły codzien mniej było, a starzy ze zgrozą patrzali na dzieci, co już ni się napić trucizny, ni przebić, ni głodem zamrzeć nie umieli, niewolników o zadanie sobie ostatniego ciosu prosić zmuszeni.

„Od przemiany rządu, powiada Tacyt⁹, nie pozostało śladu nawet cnót dawnych, wszyscy z równości się wyzuwszy, czekali rozkazów władcy.”...

Zaledwie August, wielbiony i śpiewany, strudzone oczy zamknął w Noli, otrzymawszy to od Bogów o co ich zawsze prosił i czego drugim życzył – *Euthanazyą* (śmierć dobrą i lekką) – pocałunkiem Liwii i szyderskim uśmiechem życie skończywszy pytając: – Czy jako aktor dobrze swą na świecie odegrał rolę?¹⁰ – gdy już dojrzeć było i domyśleć się można, jakie po nim nastąpić mają czasy, w jak dziwną Rzym przerośnie gospodę zbytków, występków i szafu.

⁸ Nowy przychodzi rzeczy porządek... – *Sicilides Musae, paulo majora canamus. / Non omnes arbusta juvant, humilesque myricae! / Si canimus sylvas, sylvae sint consule dignae. / Ultima Cumaevi venit jam carminis aetas: / Magnus ab integro saeculorum nascitur ordo / Jam redit et virgo, redeunt Saturnia regna, / Jam nova progenies coelo demittitur alto.* Pollio. [Są to słowa Polliona z początku czwartej eklogi Wergiliusza]. [przypis autorski]

⁹ Od przemiany rządu, powiada Tacyt, nie pozostało śladu nawet cnót dawnych... – Tacyt, *Lib. I, 4* [mowa o księdze (łac. *liber*) pierwszej *Roczników (Annales)* tego autora]. [przypis autorski]

¹⁰ życie skończywszy pytając: – Czy jako aktor dobrze swą na świecie odegrał rolę? – Swetoniusz [niedokładny cytat z *Żywotu Augusta* 99, (ks. II *Żywotów cesarów*)]. [przypis autorski]

Za Augusta kryło się jeszcze to wszystko, co po nim bezwstydnie wystąpić miało; już w samej Oktawiusza rodzinie był zaród tego, co bujnie rozrosnąć się musiało; nurtowała ją rozpusta niepowściągniona, pokryta polorem greckim i pięknymi obwinięta słowy.

V

Ojcu tego, który miał po nim nastąpić, jako przywłaszczyciel nieograniczonej władzy, August odebrał był żonę Liwią, naówczas spodziewającą się dziecięcia, jakby na szyderstwo potem zapytując się kapłanów, czy ślub jego był ważnym?¹¹. Pomściła na nim występku rozpusta téj macochy Rzeczypospolitéj, jak ją Tacyt nazywa, macochy złowrogiéj dla Cezarów. Zdawało się, że kto inny z przysposobionych dzieci i rodziny Oktawiusza może po nim objąć zarazem konsulostwo, trybunat, dowództwo wojsk i to co stanowiło naówczas nieokreśloną i nową jeszcze władzę Cezarów; – ale Liwia w ostatnim pocałunku pożegnalnym nie zapomniała o synu.

Claudius Tiberius Nero, syn téj Livii Drusilli, którą ciężarną odebrał August mężowi, by się z nią co prędzej połączyć, pochodził z rodziny Claudia, wywodzącej się z jednego z miasteczek Sabińskich, ale przyjętej w Rzymie w poczet patrycyuszów i wstawionej mnogimi czyny wielkimi. Nosili oni przydomek *Nero*, co po sabińsku znaczyło silen, chrobry; mieli i imię Lucyuszów, dopóki dwóch z nich, jeden zabójstwem, drugi rozbojem go nie splamił, tak, że w końcu porzucić je musieli. Znać we krwi tego rodu był z dawna zadatek srogości Tyberyuszów i Neronów.

Później przysposobieni za członków rodziny Liwia, plebejskiej ale możnej, przyjęli jeszcze przydomek Drusów, od pokonanego barbarzyńskiego wodza, imieniem Draus'a. Pradziad Tyberyusza, Appius Caecus, należał do dostojniejszych członków tego rodu, ojciec stał w godnościach wysoko jako wojownik mężny, miał i kapłańską po Scypionie godność.

Tyberyusz nie urodził się u Augustowego tronu, matka go już z sobą przywiodła do nowéj rodziny, a on i Drusus, brat jego, przyjęci zostali przez zobojętniałego Augusta. W dzieciństwie już los różnemi twardemi go próby hartował na wielki acz poczwarny, może najsilniejszy z charakterów swego czasu. Zrodzony w Rzymie czy w Fondi, z matką razem w pieluchach odbywał morskie podróże i kilkakroć był w niebezpieczeństwie życia... wśród płonących raz lasów, wraz z Liwią poparzony i ledwie uratowany. Znać rozwinięcie się jego było szybkie, bo prawie dzieckiem wystąpił już z mową pochwalną po ojcu na rostrach. Po zwycięztwie pod Ancium towarzyszył tryumfowi Augusta, potem w igrzyskach z młodzieżą kilkakroć widział go Rzym przewodniczącego orszakom starszych pacholąt (*puerorum majorum*).

Togę mężką wdziawszy, znów skarbiąc sobie łaskę ludu, pokazywał się w amfiteatrze. Już naówczas zapewne musiał dla bliższych tém się objawić, czém później wyraźniej ukazał światu, bo nauczyciel jego, Theodor Gadareus zwał go „błotem krwią zamieszonym” (*lutum sanguine maceratum*) a August, uniewinniając go przed ludźmi, powiadał, że miał wady przyrodzone nie nabyte, chcąc przez to dać do zrozumienia, że je zwyciężyć i pokonać potrafi.

Ale okoliczności nie sprzyjały temu zwycięztwu, chociaż się ono długo wahało. To pewna, że Tyberyusz wyrósł na znakomitego człowieka, na postać groźną lecz wielką. Jak August, poeta, a raczej retor i artysta, często mów swoich wyrażenia poprawiał nazajutrz, bojąc się w nich błąd popełnić, ale nie poprawił uczynków – dowcip jego był krwawy jak obyczaje, słowa boleśne jak wyroki.

Nie szafował jednak niemi, milczącym był raczej, nieufnym i skrytym.

Tajemniczość ta i milczenie stanowiły główny rys jego charakteru, który Dion Cassius tak maluje w chwili, gdy władzę obejmował: – „Tyberyusz, mówi on, pochodził z rodziny patrycyuszowskiej i w naukach wyzwolonych był znakomicie wykształcony, ale natury dziwnéj. Nigdy się bowiem nie objawił z tém czego pragnął, ani żądał tego, czego się chcieć zdawał: mowa jego wprost myśli była przeciwną: wstręt okazywał ku temu czego pożądał, napierał się tego co nienawidził, gniew udawał gdy był najmniej wzburzony, spokojność kłamał wrac wewnątrz na tych, którym był łaskaw burzył się wrzekomo, najnienawistniejszych sobie pogodną witał twarzą,

¹¹ Ojcu tego, który miał po nim nastąpić (...) August odebrał był żonę... – Tacyt I, 10. [przypis autorski]

najmilszych czołem chmurném. W ostatku mawiał, że nikt nie powinien znać myśli panującego, gdyż odkrycie jój spełnieniu wielkich czynów stawało na zawadzie, a milczenie dokonaniu sprzyjało.

„Lecz gdyby zawsze był takim Tyberyusz, dodaje Cassiusz, łatwoby było z nim sobie postąpić, tłumacząc przeciwie wszelkie jego słowa i uczucia, wiedząc, że tego chce co odpycha, brzydzi się tém, czego zdaje pożądać – ale on tak się burzył, gdy go kto odgadł, że wielu bez żadnej innej winy pozabijał, jedynie za to, iż myśl jego odkryli. – Jakkolwiek więc niebezpieczném było go nierozumieć gorzej jeszcze odgadnąć.”¹²

Pozostałe popiersia jego, w różnych życia epokach robione, twarz nam też odmienną przedstawiają: rysy to są wyszlachetnionego długiém powodzeniem i żywotem arystokratycznym rodu, piękne z młodu, regularne, zastanawiające wyrazem głębokim; później rośnie w nich piętno siły, dumy i zamkniętej w sobie władzy, która sama tylko w siebie nie wierzy, a chce grozą świat zhołdować. Niepospolicie wykształcony, filozof, mówca, poeta, Tyberyusz serca tylko nie miał nigdy i w całym jego życiu raz tylko namiętne ukazuje się przywiązanie. Zresztą zwykł był ludzi używać za narzędzia, jak narzędziami niemi władać, łamać i odrzucać. Zemsta jego milczała długo, ale była nieubłagana, czasem nawet, gdy życie obrachował karą, na śmierć, co mu ofiarę wydarła, się gniewał.

Wysokiego wzrostu, silny i zbudowany krzepko, szczególnie w lewej ręce miał moc olbrzymią; głowę nosił nieco pochyloną, a wielkie jego wydatne oczy, podobne ślepiom zwierza dzikiego, w nocy lepiej niż we dnie widziały. Ciało jego, mimo niewygód i wojen, białém się zachowało i delikatném; w późniejszym wieku dopiero, gdy powtórnie pić zaczął niepomiernie, twarz jego porosła wrzodami, które okrywające plastry dziwnie szpeciły. Może ta poczwarność zmusiła go usunąć się i skryć od oczów ludzkich z razu w Campanii, potem na oderwanej od lądów wysepce.

Pierwszą jego żoną była Agrippina, córka M. Agrippy, wnuczka Caecila Attyka, tego, do którego Cycero sławne swe pisał listy; do téj może jednéj w życiu, nie wiem serce go przywiązało czy namiętność. Któż wie jakaby był drogą poszedł ten człowiek, gdyby mu dano szczęścia w pokoju skosztować i życiem rodzinném się cieszyć? Ale August zapragnął go zbliżyć do siebie. Miał on ze Scribonii córkę, sławną ową Julię, naprzód za Markiem Marcellem, potem za Vipsaniuszem Agrippą; ta chwilowo podobała sobie Tyberyusza, by go później zniechęcić i życie sobie zatruć i jemu.

Kazano więc Tyberyuszowi rozstać się z Agrippiną, z którą miał syna Drusus'a, a ożenić z Julią, już naowczas osławioną i bezczesną...

Małżeństwo to było dla przysposobienia uczynione i ze wszech miar najszaleńsze; Tyberyusz namiętnie kochał pierwszą swoją żonę. Julia, co go tylko podobała chwilowo, pomiałała nim jak daleko niższym od siebie. Przymięt kochanek jój dawny, Sempronius Gracchus, swojego czasu wytworniś, dowcipniś i śmiałek, który z rostrów i obiadowego łoża równo umiał sypać słowa wyszukanemi, a używał ich zręcznie po swój myśli – nienawidził Tyberyusza i stosunków swych dawnych z córką Augusta, dla nowego jój męża rozrywać nie myślał.

Tyberyusz więc stracił tę, którą kochał, a musiał żyć z tą, która go nienawidziła, której on nienawidził. Píše Swetoniusz, że gdy potem raz w ulicy spotkał się z wydartą już sobie Agrippiną, tak radośnemi i pożądliwemi oczyma ją gonił, iż nakazać musiano, aby mu się więcej nie nawijała¹³.

Czas jakiś jednak żyli z Julią w pozornéj zgodzie, z obawy Augusta, choć obyczaje jój wstręt mu czyniły. Tyberyusz, cierpiąc mocno, zdawał się mężnieć i krzepić, kilka razy wystąpił publicznie i świetnie, to wiodąc pieszo ciało Drusus'a na stos pogrzebowy, to mówiąc w Senacie za mieszkańcami Chios i Laodycei. Potępienie spiskującego Muraeny, wojna w Armenii, chorągwie na Parthach zabrane, rządy w Galii, wojny w Pannonii, Germanii, Dalmacyi, zdawały się go kształcić

¹² Tyberyusz, mówi on, (...) był znakomicie wykształcony, ale natury dziwnej (...) niebezpieczném było go nierozumieć gorzej jeszcze odgadnąć – Dio Cassius, LVII, *Tiberius* [początkowy fragment księgi LVII dzieła Kasjusza Diona *Historia rzymska*, jednej z dwóch poświęconych panowaniu Tyberiusza]. [przypis autorski]

¹³ tak radośnemi i pożądliwemi oczyma ją gonił, iż nakazać musiano, aby mu się więcej nie nawijała – *adeo contentis et tumentibus oculis prosecutus est eam* [w oryg.: ...*oculis prosecutus est, ut custoditum sit ne umquam in conspectum ei posthac ueniret*, Swetoniusz, *Żywot Tyberiusza* 7]. [przypis autorski]

na użytecznego ojczyźnie obywatela i wodza. Ale to były dlań środki tylko zajęcia chwilowego, nie wypełniające serca; głuszył niemi tęsknotę i boleść niezwykłą; zwiększało się obrzydzenie jego do Julii z powodu rozwiązłości; odrzucić jej nie mógł, obwinić nie śmiał, znieść nie umiał.

Zaprzagnął więc w końcu usunąć się i oddalić, nie chcąc ani patrzeć na to co się działo, ani dzieciom bliższemu sercu Augusta miejsca zajmować. Naprózno troskliwa matka starała się go przezwyciężyć i powstrzymać – objawił żądanie to gwałtownie i wytrwał w postanowieniu uparcie. Gdy go usilnie zatrzymywano w Rzymie, przez dni cztery jeść nie chciał i groził, że się głodem zamorzy. Nareszcie żonę i syna rzuciwszy, w Ostii siadł na okręt, nie żegnając się z nikim, i nie ścisnąwszy dłoni niczyjej, Rzym znieawidzony opuścił.

Niegdyś, gdy do Armenii płynął, burza czy przypadek jakiś wstrzymały go na pięknej wyspie Rhodos. Tyberyusz, jak August wykształcony, więcej był Grekiem niż Rzymianinem, wabiła go Hellada, jęj język, swobodniejsze obyczaje, literatura, niebo nawet. Tu był w Grecyi: Rhodos mu się podobał i na miejsce dobrowolnego wygnania wyspę tę wybrał znowu.

Osamotniony, gdyż niewielu z sobą zabrał domowników, przeszedł na prywatnego człowieka, wyrzekł się znaczenia, zaprzagnął być równy drugim; rzucił strój senatorski, pozbył liktorów i zamieszkał w domku małym i ciasnym.

Całą jego zabawą było chodzić po szkołach i słuchać retorów, lub rozprawiać z nimi.

Czasem napadały go miłosierne jakieś zachcenia; zaprzagnął jednym razem odwiedzić wszystkich chorych, ale oświadczywszy się z tém wcześniej, był powodem, że mu ich zniesiono ilu było, pod portyki, dla wygodniejszego obejrzenia, aby się po domach nie trudził. Ułożono mu ich nawet klasyfikując wedle rodzaju chorób i ich niebezpieczeństwa.

Na ten widok Tyberyusz, który chciał miłosierne udawać, sam zrazu nie wiedział co począc; wszakże obszedł wszystkich i przed każdym z omyłki popełnionej jak najłagodniej się tłómaczył.

Władzę swoją Trybuńską dobrowolnie prawie złożył, i raz tylko jęj użył, gdy mu włóczącemu się po szkółkach, wśród żywej dwóch sofistów rozprawy, biorącemu stronę jednego z nich drugi nałajał – mszcząc się nazajutrz pozwaniem i więzieniem.

Zdaje się, że to życie na wyspie Rhodos samotne, ciężkie, do reszty go zgryzotą tajemną i goryczą na dni ostatek napoiło. August wreszcie, zapewne za staraniem Livii, która pragnęła powrotu syna, przekonawszy się o rozwiązłym córki bezwstydzie, sam jęj list rozwodowy (*repudium*) przesłał, i w imieniu Tyberyusza ją odrzucił, dając mu zaraz znać o tém.

Tyberyusz pozostał jeszcze w Rhodos jak gdyby posłany przez Augusta, usłuchawszy woli matki, która w ten sposób jego ucieczkę dobrowolną od sromoty zasłonić chciała. Tajemnicą zresztą okryty był ten pobyt oddalony w Grecyi w czasie którego popadł w podejrzenie, w niełasce, że wszelkiej wyzuł się władzy, odzież nawet patrycyuszowską zdjął i zdawał tylko wyczekiwać śmierci. Matka wreszcie ubłagała go, aby o powrót prosił, a gdy i Cajus na to zezwolił, przywołano go do Rzymu.

Osiem lat jednak trwało to wygnanie, które go uczyniło skrytym, zdziaczalym, milczącym i mściwym. Tyberyusz wybrał sobie życie prywatne i byłby w niém trwał, gdyby go śmierć Cajusa i Lucjusza nie wyzwoliła.

August naówczas, za namową żony przysposobił go za syna, rozkazując mu w tenże sposób usynować Germanika. Były to tylko czcze formy związku rodzinnego, zastępujące to, co brakło w rzeczywistości, do niczego też nie obowiązywały. Tyberyusz wkrótce znów, jako najbliższy władzy, począł ją odzyskiwać. Objąwszy Trybuńską poszedł dla uspokojenia Germanii i Illiryi.

Tu sobie jako wódz na wielką zarobił sławę, i już mu miano wotować nazwanie poczesne, gdy August trochę zazdrośny, wstrzymał je tém, że go po sobie za następcę ukazał.

Wojna i władza, znowu w nim niepospolite rozwinęły przymioty: w istocie był to jeden z tych ludzi, którzy bojując z sobą i złemi skłonnościami swemi, wielkimi być muszą w jakikolwiek sposób. Tyberyusz mógł też być wielkim, gdyby objąwszy spadek po Auguście, potęgą swą nieograniczoną nie oszalał, a namiętnościom wodzów nie puścił.

W tej wojnie germańskiej był on, jako żołnierz i wódz, wytrwałym na niewygody i znoje, po starorzymsku prowadząc legije do boju, bez namiotu, na wilgotnej ziemi noce przepędzając z niemi, często jedząc na trawie, w nocy każąc się budzić za każdą potrzebą, karności strzegąc pilnie.

Mniejsza o owoc tych wojen i zwycięstwa, które pominiemy, nie mając zamiaru malować ich, lecz charakter tylko wykazać.

Obok dobrych, rozwinęły się życiem żołnierskim i złe strony człowieka; August musiał go znać dobrze, gdy, jakśmy wyżej nadmienili z Swetoniuszem, po długiej z nim rozmowie, użalał się w obec dworzan swych, nad przyszłym podwładnego mu Rzymu losem.

Listy jednak Augusta, które biograf ten przywodzi, pełne są dlań słodczy i oznak przywiązania, choć może nie tyle je serce, co ochota popisu z wymową i stylem dyktowały, bo Cezar, hellenizując w nich, i wiersze poetów przytacza, i wyraźnie raczej dla przyszłości, niż dla przybranego pisze syna.

W chwili śmierci Augusta, Tyberyusz znowu znajdował się w Illiryi, do której wkraczał za ledwie, gdy listy matki gwałtownie wezwały go do Noli.

VI

Umarł Augustus w domu otoczonym przez Livią strażami i tak pilnowanym, że o zgonie jego nikt nie wiedział, dopóki się do następstw nie przygotowano.

Rzym czekał otwarcia testamentu Augusta, ale o autentyczności jego zawczasu różnie sądzono. Usposobienie jednak wszystkich zapewniało przedłużenie władzy nieograniczonej, zbiorowej w jednym ręku jego następcy. Władza ta, jeszcze nie określona, składała się z przelania na jednego różnych dostojeństw, które wprzód były rozpieczętowane i rozdzielone umyślnie – „W Rzymie, powiada Tacyt¹⁴, konsulowie, senatorowie, rycerstwo, dobrowolnie oddawali się w niewolę, a im kto był świetniejszego rodu, tym więcej okazywał pośpiechu i gorliwiej się fałszem okrywał, układając twarz, aby nie widać z niej było ani nadto radości ze śmierci władcy, ani zbyt wielkiego smutku z powodu odziedziczenia następcy... mieszano łączy razem, żale i pochlebstwa.”

Wiedziano już, a raczej domyślano się, że Livia starać się będzie wynieść Tyberyusza, i przysięgę składać poczęto, choć jeszcze nie było pewności, że ona mu należy.

Zręczny i wytrzymały Tyberyusz zwołał Consulów pismem, na którego czele, jak w stariej Rzeczypospolitej, kładł ich imiona, nie chcąc się domyśleć, by miał już jaką władzę, uważał się tylko Trybunem, a nie pragnął jeno pozostać przy zwłokach ojca i oddać im ostatnią posługę. Ale choć tak wstrzemięśliwy w słowach, czynem jednak zapewniał sobie siłę na przypadek, która szale na jego stronę przeważyć mogła: kohorty praetoriańskie były w jego mocy; otaczało go żołnierstwo jak Cezara. Z niemi szedł do Forum i Senatu, wojsku tymczasem rozkazywał, w słowach tylko wahając się i miarkując. Zdaje się, że obawa Germanika, który w rękach miał legije potężne, i chęć uniknięcia z nim walki, wstrzymywały go jeszcze; chciał być powołanym, zmuszonym niejako do objęcia władzy, a nie sam ją sobie przywłaszczyć.

W Senacie, unikając głównego zadania; mówiono tylko o czci, jaką zmarłemu miano oddawać Augustowi, odczytano testamenta, na których czytanie głosu i sił czulemu Tyberyuszowi, postanowionemu dziedzicem, zabrakło¹⁵.

Na wyprzedki ubiegano się w senacie o wynalezienie nowych dla zmarłego honorów pośmiertnych; wreszcie senatorowie zapragnęli nieść sami ciało jego na stos pogrzebowy. Tyberyusz słuchał i jęczał, zgadzając się na wszystko. Starszyna rzymska odegrywała wraz ze stróżami rolę swoją przedziwnie, choć po cichu już, jak zawsze, wiele rzeczy zarzucano zmarłemu w zarządzie kraju i życiu domowym... Przebąkiwano nawet, że wybór padł na Tyberyusza, nie z czułości dla niego, nie z przywiązania do Rzeczypospolitej, ale ze znajomości tajemnej jego zuchwalstwa i srogości, dla podniesienia blasku przeszłości, straszliwą sprzecznością jej następstw¹⁶. Przypominano sobie charakterystykę szyderską, z którą, pod pozorem pochwały, August wystąpił w Senacie, prosząc dlań powtórnie o władzę trybunską.

Po pogrzebie, wszyscy poczęli błagać Tyberyusza, aby im Augusta zastąpił; on się wahał, wymawiał z razu i składał bezsilnością, poddając nawet myśl podziału władzy, której tylko jeden August mógł sam podołać. Życzył ją tak rozdzielić, by jeden wojskiem, drugi Rzymem stolicą, trzeci resztą państwa rządził.

Był to środek wybadania, azali kto nie myśli Germanika do udziału władzy przypuścić, poddanie zręczności do wygadania się, za które, odkrywszy je, mógł się później mścić na sprawcy. Jeden tylko nieszczęśliwy Asinius Gallus, który był wziął za żonę pierwszą Tyberyusza odrzuconą Agrippinę i Drus'a jego przysposobił, znienawidzony przez niego jako rywal, odezwał się pytaniem,

¹⁴ *W Rzymie, powiada Tacyt, konsulowie, senatorowie, rycerstwo, dobrowolnie oddawali się w niewolę* – L. I, 7. [przypis autorski]

¹⁵ *odczytano testamenta, na których czytanie głosu i sił czulemu Tyberyuszowi, postanowionemu dziedzicem, zabrakło* – Swetoniusz [Żywot Tyberiusza 23]. [przypis autorski]

¹⁶ *dla podniesienia blasku przeszłości, straszliwą sprzecznością jej następstw* – Tacyt, L. I, 10: *Comparatione deterrima sibi gloriam quesivisse* [sławy sobie w potomności z najzłośliwszego porównania szukał; tł. A. Naruszewicz]. [przypis autorski]

jaką część w takim razie obrałby sobie Tyberysz? Tu pióro Tacyty tak silnie kreśli ową scenę w senacie, iż słowa jego powtórzyć musimy:

„Mowa Asiniusza raczej była napuszona niż szczera; zresztą, Tyberysz nawet w rzeczach z którymi się nie skrywał, zostawiał zawsze, z natury czy z przywyknienia, wyrazy niejasne i niedokończone... I w tej chwili, siląc się na ukrycie myśli, mowę swą obwijał jeszcze bardziej mgłami i dwuznacznikami.

„Senatorowie też, którzy niczego bardziej się nie lękali nad to, by się nie pokazało, że myśl jego odgadli, wysilali się na prośby, zaklęcia, łzy, rozpacze, obejmowali posągi Bogów, popiersia Augusta, kolana Tyberysza nawet”¹⁷.

Koniec końców, zręczny ów przysposobiony syn objął całe po ojcu dziedzictwo, a spodlony senat przyklasnął jego ofierze. Dodał tylko¹⁸ bolejącym i osłabłym głosem warunek:

– Gdy przyjdzie chwila, w której znajdziecie słusznym... proszę was, byście starości mojej dali wypoczynek i dozwolili mi zrzucić z siebie to ciężkie jarzmo.

Pomimo najusilniejszego starania o ukrycie swęj myśli i uczucia, Tyberysz zdradzał się wszakże to czynem, to wejrzaniem, choć nigdy słowem.

Krew, z początku tego panowania nawet, gdy jeszcze do śmierci Germanika o zacność z nim walczyć musiał, już płynąć zaczynała. Agrippa umierać musiał. Haterius’a, który był powodem złowrogiego pośliznienia się i upadku, ledwie wyprosiła matka; nieco później wygnaną Julię, córkę Augusta, po cichu umorzono głodem, a Sempronius’a Graccha, który się umrzeć nie domyślił, z rozkazu Tyberysza zabito potajemnie, w nadziei, że Rzym się o tych mordach nie dowie.

Wkrótce po osiągnięciu władzy, gdy Senat Livii nadać chciał imię dotąd niewiastom niezwykle, zazdrośny sławy i znaczenia syn, z cicha się przeciw tym objawom czci przesadzonej objawił, z przykrością zmuszony przypomnieć, że jęj nie sobie wszystko był winien.

Obawa jednak Germanika, w piérwszych latach panowania, czyniła Tyberysza umiarkowanym w użyciu siły, a przynajmniej w formie jaką jęj nadawał; we wszystkiem prosił o rady senatu, nie votował nigdy piérwszy, odmówił wreszcie przyjęcia tytułu Augusta i ojca ojczyzny; zabronił przysięgać na swe imię jak na świętość, (co wchodziło już we zwyczaj przez pochlebstwo i było rodzajem ubóstwienia) stawiać sobie świątyń, które mu już wznosić chciano¹⁹, zakazał. Wszystką cześć jaką mu wyrządzano, zwracał pamięci ojca Augusta.

Troskliwy niby o dobro senatu, ubogich jego członków wspierał, groszem ich jednając sobie, a że nigdy chciwym nie był do zbytku, nawet rządcom prowincyj nie dozwalał się sobie datkiem przypochlebiać i niejakiemu Emiliusowi Rectus, który z Egiptu nadesłał mu wyżęj postanowionęj dani znaczniejszą sumnę, kazał powiedzieć, że poddani jego są owieczkami, że strzydz je potrzeba, ale ze skóry odzierać się nie godzi.

Ten piérwszy peryod panowania Tyberyszowego jest rzeczywiście zajmującą sztuką sceniczną, dla tych, co znają go później już jawnie działającym po swęj myśli. Moznaby go nie ledwie posądzić o istotną filozofiję stoicyzm, skromność i pobłażliwość.

Czasem potulność jego zakrawa aż na szyderstwo, gdy mówiących do siebie poprawia za każdym pochlebnym słówkiem.

- Święte twe zajęcia – mówi mu senator jakiś.
- Pracowite... – poprawia Cezar.
- Sprawco! – wykrzykuje drugi.
- Doradco... – szepcze Tyberysz.

¹⁷ *Mowa Asiniusza raczej była napuszona...* – Tacyt, L. I, 11. [przypis autorski]

¹⁸ *Dodał tylko bolejącym i osłabłym głosem warunek: – Gdy przyjdzie chwila, w której znajdziecie słusznym... proszę was, byście starości mojej dali wypoczynek...* – Swetoniusz [Żywot Tyberysza 24]. [przypis autorski]

¹⁹ *odmówił wreszcie przyjęcia tytułu Augusta (...)* zabronił przysięgać na swe imię jak na świętość... – Dio Cassius [Historia rzymska LVII, 2–10, por. też Swetoniusz, Żywot Tyberysza 26]. [przypis autorski]

Już wówczas jednak poczęły się pokątne nań pisemka i paszkwile, o których gdy mu znać dawano, skromnie odpowiadał, że w swobodnym państwie, myśl i język wolnymi być powinny.

W senacie słuchał rady z pokorą, choć niemal z niej sobie żartował²⁰.

Laury to Germanika i trudy jego, i bohaterskie życie żołnierza, przypominające ducha i obyczaj dawnych Rzymian, spocząć mu nie dawały, i tę grę w filozofa wywoływały.

Obok Tyberysusa, który w słowach wielkim być usiłuje, Germanik istotnie wielki czynami, stanowi wybitną sprzeczność, tłómaczącą jaką zazdrością przeciwko temu bohaterowi musiał paść syn Liwii. W sercach Rzymian była miłość i cześć pełna zapału dla wielkiego bohatera; Tyberysus nie tylko Germanika, ale żonę jego Agripinę, która mu mężnie towarzyszyła w wyprawach, nienawidził, posądzając, że czyny jej wszystkie zmierzały do pozyskania władzy mężowi.

Jej znalezienie się u mostu na Renie, przeglądy wojsk, ofiary żołnierzom, rozdawanie im sukni i pieniędzy, wzbudzało niepokój w duszy Cezara.

U boku też jego stał już ów łysy Sejan, zauszniak godny pana, któremu pochlebiał, podsycając w nim nienawiść, budząc podejrzenia, ofiarując posługi.

Nowe zastosowanie Augustowego prawa o zniewadze majestatu i rozciągnięcie znaczenia jego do pisemek pokątnych, odkryło powoli mściwy charakter Cezara. Wszystko się wówczas dawało w potrzebie pod zniewagę majestatu podciągnąć; Tacyt przywodzi, że jedną z pierwszych denuncyacyj tego rodzaju i zarzutów obrazy majestatu, było oskarżenie Rubriusa i Falanusa, rycerzy rzymskich, za to, iż niejakiego Cassiusa, rozpustnych obyczajów człowieka, przyjęli do bractwa na cześć pamięci Augusta postanowionego; potem że Falaniusz, sprzedając ogrody swe z niemi sprzedał razem (o świętokradztwo!) posąg Augusta, że Rubriusz przysięgł fałszywie na imię Augusta.

Tyberysus jednak tych dziecinnych zarzutów na pierwszy raz nie przyjął i kary za te zbrodnie wymierzyć nie chciał.

Ale droga dla innych była wytknięta i rzemiosło donosiciela stało się sposobem do życia, środkiem pozyskania łaski. Znaleźli się ludzie jak Hispon, którzy z donoszenia żyli, a za ofiary swe wybierali najbogatszych obywateli i najznacniejszych w Rzymie ludzi... Dla takich zbrodnią było, gdy postawiony posąg Cezara niżej stał od otaczających, gdy mu burza lub przypadek głowę odkręcił... Tyberysus zrazu hamował zbytnią usłużnych gorliwość.

W tych pierwszych latach po osiągnięciu władzy jest w nim zaród wielkiego człowieka, któremu tylko braknie by tém był, czém się chciał okazać; – pojęcie więc wielkości charakteru było w jego duszy, ale namiętności je zacierały, a sceptycyzm z żywota czynił komedią.

Pracował w senacie, sądom praetoryańskim przysłuchiwał się z kątką, zbytków, szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał²¹, kosztowne igrzyska sceniczne starał się skromniejszemi uczynić; płacę histrionów zmniejszył, w własnym życiu okazując się oszczędnym, a nawet pilnując obyczajów i rozwiązłości kobiet kładąc granice, choć w nim samym tajemnych i najobrzydliwszych rozpust wrzał ogień niepoohamowany.

To staranie o okazanie się wielkim władzcą, troskliwym o dobro poddanych, prześladowanie obrzędów Egipskich i żydowskich, wierze Rzymian i staremu prawu przeciwnych, a czystość jej skalać mogących, rozkaz przepatrzenia ksiąg sybillińskich, czuwanie nad sprawiedliwością wymiarem, nad spokojem miasta i bezpieczeństwem mieszkańców, nad tém, by żadna zbrodnia nie uszła bezkarnie... cechują epokę poprzedzającą śmierć Germanika.

Dodamy tu, że obejście się z żydami, których cztery tysiące za dekretem senatu wywieziono do Sardynii, przeznaczając ich do walki z rabusiami wyspę tę niszczącymi, było popularne ale nie ludzkie. Wedle pojęć ówczesnych, co nie nosiło imienia obywatela rzymskiego, nie zasługiwało ni

²⁰ *W senacie słuchał rady z pokorą, choć niemal z niej sobie żartował* – Swetoniusz. [przypis autorski]

²¹ *szat jedwabnych i naczyń złotych zabraniał* – Dio Cassius [Historia rzymska LVII, 13]. [przypis autorski]

na litość, ni na sprawiedliwość nawet, a Tacyt pisząc o tém, dodaje z dziwną obojętnością, że jeśliby żydzi poginęli w boju, lub z powietrza pomarli, nie wielka byłaby szkoda (*vile damnum*)²².

Takie były owego wieku pojęcia...

Tyberusz, w całym tym okresie sili się na walkę z bohaterem, ulubieńcem Rzymu, stara mu się cnotą sprostać, wspaniałomyślność odegrywa, naprzykład, gdy oskarżonego o spisek i zabijającego się Libona po śmierci czyni się obrońcą, choć sprawy wprzód nie umorzył gdy mógł, a majątność winnego rozdzielił między donosicieli.

Charakter ten w pierwszej połowie rządów maluje się we wszystkich czynach i słowach; filozof w mowie, na podziw skromny, umiarkowany, dla pamięci Augusta, dla matki pełen poszanowania, łagodny dla winnych, wykonawca sprawiedliwości ścisły, czyny tajemnemi zadaje kłamstwo pozorom. Opiera się gdy pragnie, jak mówi Dion, nienawidząc ściska i wychwała. Tak z Germanikiem, tak z matką, tak postępuje z wielkiego charakteru Pisonem; w senacie z patrycyuszami, milczeniem lub słowy dwuznacznymi pokrywając myśl swoją, a niekiedy wydając się z samowolnością, gdy senat objawia jakąś chętkę i wolę własną, jak w sprawie Hortolus'a, którego o pomoc proszącego odprawił szyderstwem, choć w innych razach lubił się okazywać wspaniałym.

Chwilowe ukazanie się samozwańca, który udawał ocalonego niby od śmierci Agrippę Posthuma, syna Julii, córki Augustowej, nabawiło strachem Tyberusza o władzę, gdyż lud rzymski niepokoił się tém zjawieniem... Cassius przywodzi odpowiedź schwytanego oszusta, który spytany przez Tyberusza: – Jakim sposobem stał się Agrippą? – odparł śmiało:

– Tak jak ty Cezarem.

Zazdrość o Germanika, coraz bardziej sławiącego się zwycięstwami i wraz z żoną ulubionego ludowi i legijom, trawiła ciągle potajemnie Cezara; pokrył ją jednak ofiarowaniem igrzysk w jego imieniu ludowi i przypuszczeniem go z sobą do Consulatu. Wszystko to osłaniało nienawiść i powziętą już może myśl pozbycia się współzawodnika. Ostatek dni jego zatrąla walka z Pisonem, jakby umyślnie wyznaczonym do skrócenia mu życia.

Śmierć bohatera nie bez przyczyny może przypisano czarom i truciznie, poddanej przez Pisona i żonę jego Plancyne.

Wśród tych dziejów coraz większego upodlenia charakterów i ludzi, wzniosłe postacie Germanika i Agripiny jaśnieją dziś jeszcze bohatersko – jakże w owych czasach wspaniale na tém tle czarném wydawać się musiały!!!

Konający na wygnaniu bohater, ofiara prześladowania nikczemnego, napełnia Tyberusza radością, Livią spokojem, rozpoczynając nową epokę życia Cezara, który czując się silniejszym, staje coraz zuchwalszym, zrzuca maskę i okazuje jakim jest w istocie.

Lud rzymski długo potem, wśród nocnych ciszy, wykrzykiwał pod oknami pałaców Tyberuszowych i pisał na murach:

– Oddaj nam Germanika!²³

Śmierć jego powszechnie Livii i jej synowi wyrzucano.

²² *obejście się z żydami, których cztery tysiące za dekretem senatu wywieziono do Sardynii, przeznaczając ich do walki z rabusiami* – Tacyt, II, 85 [wzmianka dotycząca debaty w sprawie pozbycia się z Rzymu dwu kultów: religii egipskiej i żydowskiej, oraz wysłania na Sycylię łącznie czterech tysięcy wyzwolenców „zarażonych tymi przesądami”]. [przypis autorski]

²³ *Lud rzymski (...) wśród nocnych ciszy, wykrzykiwał (...) i pisał na murach: Oddaj nam Germanika!* – Swetoniusz [Żywot Tyberiusza 52]. [przypis autorski]

VII

Ubezpieczony pozbyciem się nienawistnego współzawodnika, Tyberyusz podniósł głowę i aktorskie zrzucił suknie; nie potrzebował grać cnoty i wspaniałomyślności, aby Germanikowi dorównać; nowy jednak niepokój nim owładnął: obawa spisków, nieprzyjaciół skrytych i niechęci ludu rzymskiego, który mógł na nim mścić się nie jedną śmiercią Germanika, ale surowego obejścia z jego wdową i dziećmi, swoich własnych ucisków i spodlenia. Im niżej padał przed nim senat, im czynniejsi stawali się donosiciele, im więcej ofiar przebijały się mieczem i zamarały głodem, tém Cezar niespokojniejszy na resztę ludu swojego poglądał, zdradę przewidując wszędzie, gróźb szukając w każdym słowie.

Kłamcy nauczyli go téj niewiary, z jaką uśmiechał się ubóstwiający nawet siebie, dając do zrozumienia, że strach a nie serce mówiło przez ich usta.

Do tego czasu jeden tylko człowiek, oddany mu i zaprzędany ciałem i duszą, Aelius Sejan, syn Strabona, miał ucho jego i wiarę.

Zaślepiiony starzec jakąś dziwną ku niemu namiętnością, ufał zausznikowi, czyniąc przezeń wszystko, dając mu władzę niezmierną i do coraz wyższych podnosząc godności. Pieszczoszek ten Tyberyuszowy, w dzieciństwie jeszcze splugawiony rozpustą Apicyusza, któremu się był sprzedał, dostał się później do dworu Cezara, i z *triclinium* jego i gacha, na wodza straży praetoryańskich był wyszedł. Równie okrutny i bez serca rozpustnik, jak pan jego, posiłkował go we wszystkiém, aby się sam podniósł i już zamyślał o panowaniu, które częściami zręcznie sobie przywłaszczać umiał.

Ze śmiercią Germanika poczynają się podejrzliwe prześladowania ludzi, pism i władza coraz wzrastająca Sejanowych pomocników, donosicieli.

Niewolnicy, jak wiadomo, nie mogli wedle prawa świadczyć przeciwko panom swoim, oskarżonym o występki; wynaleziono więc sposób na wymożenie u nich legalnego świadectwa w razie potrzeby; skarb naówczas wykupywał ich na swój rachunek, i męczono, póki nie zeznali co kazano.

Donosiciele nową i strasliwą broń zyskali w ten sposób.

Powrót do Rzymu Agrippiny z popiołami Germanika, sprawa Pisona, z której jawnie okazywało się, że postępował z nieprzyjacielem stosownie do otrzymanych od Tyberyusza rozkazów, śmierć jego wreszcie, zapobiegająca podobno by się to wszystko dobitniej nie objawiło, udawany po niej żal Cezara, wszystko to razem okazało Rzymowi, jakiego miał pana nad sobą. Obawy Tyberyusza nie były płonnemi, gdyż najpodlejsze uniznienie kryło już wówczas ohydę ku niemu, wstręty i niechęć powszechną.

Nawet to życie, dotąd osłonięte tajemnicą nieprzejrzaną, które później w najrozwiązlejszą rozpustę bezwstydnéj starości na wyspie Capreä miało się przemienić, powoli już zaczynało się ukazywać jaśniej oczom tych, których potępiano za podobne sromoty.

Posępny, milczący, ponury i poważny w senacie, Tyberyusz, przy drzwiach zamkniętych, w obozie pretoryan, spijał się do szału, tak że dawniej mu w Germanii nadane przez żołnierzy przezwisko *Biberius Caldius Mero*, przypomniano znowu.

W chwili, gdy srogie prawa, zbytku, rozpusty niewiast i gorszących igrzysk teatralnych zakazywały, zamknięty z Pomponiuszem Flakkiem i Pizonem, stary rozpustował po dwie doby z nimi, zowiąc ich swymi najmiłszymi przyjaciółmi; towarzysza tych biesiad, Sestiusza Galla, zbezczeszczonego człowieka, wprowadził do senatu, i z nim razem nocne uczyty na Palatynie sprawiał, rozkazując posługiwać sobie orszakom obnażonych dziewcząt. Mówiono, że Questorem kogoś zrobił za tchem jednym wypitą całą winą amforę, a rycerza rzymskiego niejakiego Prisca, urzędnikiem mianował do nastreczenia rozpusty²⁴.

²⁴ w Germanii nadane przez żołnierzy przezwisko *Biberius...* niejakiego *Prisca*, urzędnikiem mianował do nastreczenia rozpusty – Swetoniusz [*Żywot Tyberiusza* 42]. [przypis autorski]

Sypialne jego izby całe były pomalowane w najrozwiązlejsze obrazy, wśród których celował Pharrasyuszowy Atalanty z Meleagrem obrzydliwy i bezwstydnny.

Wśród tych zabaw, skalanych monstrualnymi wymysły, które ni płci, ni wieku, ni stanu kapłańskiego nie szanowały, zawsze retor, artysta, mówca o czystość języka troskliwy, zaprzętał się Cezar słówkami i wierszykami, płacąc za płaskie koncepta, zadając przy biesiedzie pytania dowcipne, lubując się harmonią poezji greckiej, sam pisząc mowy, listy i poemata w języku Hellenów.

Trefne te zabaweczki i zagadki – kto był matką Hekuty? – Jakie imię nosił między dziewczętami Achilles? – Co śpiewają Syreny? – przeplatały wyroki śmierci i szyderskie pastwienie się nad podejrzanymi sobie, nad znieawidzonymi.

Życie ludzkie nic u niego nie ważyło, ale w mowie łacińskiej użycie w senacie wyrazu greckiego *emblema*, kłopotowało go niezmiernie, chciał go koniecznie łacińskim zastąpić, a słowa brakło. Nawet sam Cezar wynaleźć go nie mógł.²⁵

Obok tych literackich zabawek, myśli i słowu człowieka, których objaw dawniej pozornie szanował, nie dawano najmniejszej swobody. Cremotius Cordus musiał się zabić za to, że Brutusa i Cassiusza nazwał ostatnimi Rzymianami; biedak Luterius Priscus, poeta, który był na śmierć Germanika wiersz ułożył, a potem zawczasu, w czasie choroby Drusa, zgon przewidując, zapaśną elegiję dla niego napisał, i nieostróżnie ją przed kobietami odczytał, oskarżony o tę zbrodnię, również sobie życie odebrać musiał.

Nawet w dzieciach i żonie obawiał się Germanika jeszcze po jego zgonie: – nie śmiał ich otwarcie prześladować Tyberyusz, i najstarszego z synów zmarłego, Nerona, sam troskliwie prowadził do questury.

Wśród tych niepokojów ciągłych, które go tajemnie pożerały, zmarł mu Drusus, jak mówiono otruty przez służę i żonę Lewillę, uwiedzioną umyślnie przez Sejana, aby się pozbyć następcy i zbliżyć do władzy, którą tak pochwycić pragnął. Na tę śmierć dziecka Tyberyusz patrzył tak chłodno jakby go nic nie obchodziła, długą i piękną mową zaraz się po niej pocieszając. Maluje to pojęcie jakie miano o jego charakterze, że wieść chodziła jakoby sam Drusa otruł, z namowy Sejana, który mu podszeptał, iż syn czyhał na jego życie.

Sam chcąc pozostać w Rzymie i opanować władzę całą, Sejan powiększył obawy Tyberyusza, wmawiał mu potrzebę spoczynku, by go oddalić i nakłonił do usunięcia się w Campanię, z kądem mógł mieć oko na stolicę, a życiem się czynnym nie nużyć.

Tyberyusz opuścił Rzym, pod pozorem poświęcenia świątyni Jowisza w Capui i Augusta w Noli, by więcej już do niego nie wrócić.

Panowanie zostało w rękach Sejana, pozór tylko władzy przy starcu, dobrowolnie skazującym się na to rozkoszne wygnanie, i dla wygodniejszego rozpustowania, usuwającym się ku owemu cudnemu brzegowi morskemu, a potem jak łożo wieczorne przygotowanej dlań Caprei.

„Niektórzy utrzymują, pisze Tacyt, że poczwarność jego w starości, rozrosła, wychudła i przygarbione cielsko, głowa łysa, twarz wrzodami i plastrami okryta, nabawiała go wstydem, ilekroć musiał się ukazać publicznie; że samotność w Rhodos przyuczyła go do stronienia od ludzi i szukania potajemnych rozkoszy. Inni gwałtownemu charakterowi matki przypisują ucieczkę tę z Rzymu.”²⁶

Wypadek wśród tej podróży, w której mu z razu towarzyszył Sejan, mający później do stolicy powrócić, powiększył jeszcze wdzięcznością za ocalone życie miłość Tyberyusza ku niemu. W drodze obiadowano w grocie, pomiędzy morzem Amuklańskim a Fundi, w miejscu od pieczary *Spelunca* zwanym. Wpośród biesiady nagle skały nad głowami ich runęły i wszyscy uciekać zaczęli,

²⁵ użycie w senacie wyrazu greckiego *emblema*, kłopotowało go niezmiernie, chciał go koniecznie łacińskim zastąpić – Swetoniusz [Żywot Tyberiusza 71; także: Kasjusz Dion *Historia rzymska* LVII, 15; jak się wydaje, greckie *εμβλημα*, oznaczające wypukły ornament na naczyniu, zadomowiło się już w łacinie, sto lat wcześniej Cynceron posłużył się nim dwukrotnie w mowie przeciw Gajuszowi Werresowi]. [przypis autorski]

²⁶ *Niektórzy utrzymują, pisze Tacyt, że poczwarność jego (...) Inni gwałtownemu charakterowi matki przypisują ucieczkę tę z Rzymu* – Tacyt, L. IV, 57. [przypis autorski]

jeden Sejan, okrywając Tyberysza kolanami, głową, rękami, powstrzymywał upadek kamieni, dopóki żołnierze w pomoc mu nie nadbiegli. Ten czyn mężstwa i przytomności umysłu do reszty zniewolił serce ocalonego Cezara.

W Rzymie tymczasem mnożyły się codzien prześladowania, którymi się Sejan ubezpieczał, panując tu ze swymi wiernymi pretoryanami; codzien ktoś padał ofiarą donosiciela, a ci, co majątek dla spadkobierców ocalić chcieli, nie czekając przekonania o winę i wyroku, po uczcie z przyjaciół, sami sobie śmierć zadawali, by kata i grabieży uniknąć. Wiedzieli oni, że dosyć być oskarżonym, aby potępionym zostać.

Zbytek, jaki wówczas panował w Rzymie, nawet najzepsutszych uderzał i senat, choć sam zniewieściały, widział się zmuszonym przypomnieć Cezarowi dawne prawa, które go ograniczały. Tyberysus sam rozpuście już i wymyślnym oddany rozkoszowaniom, nie śmiał ukrócić szału. Czuł on, że wpływając na charakter narodowy, na obyczaje, na hart duszy, rozpusta i przepych przysposabiały mu posłusznych poddanych, pomocnicząc bojaźni; że surowsze życie byłoby dało siłę ludziom, których słabości i spodlenia pragnął; odmówił więc prawa nowego i senat zamilkł posłuszny. Okazał się przytém łaskawszym chwilowo, jakby okrucieństw Sejanowych współzawodnictwo chciał zaćmić dobrocią, wstrzymał donosicieli, którzy zajadle pełnili swe bezecne rzemiosło, a gdy niejaki Capiton w senacie mocno i gorąco powstał na samego Cezara, z powodu, że bronił Enniusza, który srebrny posąg jego przetopił na jakieś naczynia, nie przyjął tego nowego rodzaju pochlebstwa i oskarżonego uniewinnił.

Nie trwało to jednak długo – ujrzano wkrótce w senacie ze zgrozą donosiciela syna, przeciwko własnemu powstającego ojcu. Był to Vibius Serenus, który okrytego łachmanami, wynędzniałego rodzica, w kajdanach wlezonego przed sąd senatu, oskarżał o poduszczanie Galii do buntu. Ojciec podnosząc skute ręce ku niebu, wołał o pomstę bogów. Tyberysus, którego sprawą było to mściwe i późne obwinienie, sam się uczył wstydem okryty, ale to mu nie przeszkodziło zgubić nieprzyjaciela, gdyż zemstę umiał żywić lata długie i zagasnąć jój nie dawał.

Vibius powrócił na wygnanie, Cezar wziął znowu stronę donosicieli i cugle puścił ich niecnocie.

Śmierć matki, Liwii, uwolniła go nareszcie od współzawodnika, którego znosić musiał, który codziennie cięższym mu się stawał. Liwia była szanowaną w Rzymie, senat poważał ją, a stara matka miała stanowisko, którego blask niekiedy synowi bywał przykry; wybuchały z tego powodu gorszące niechęci i gniewy.

Ostatnie dni téj kobiety, w której charakterze już syn przegląda, upłynęły w walce skrytej z własném dziecięciem, by nic do obrazu szkarad téj epoki nie brakło.

Widzimy Cezara z zimną krwią patrzącego na śmierć syna własnego Drusa, cieszącego się prawie ze zgonu matki, której stosownego do stanu pogrzebu odmówił. Tyberysus, poświęciwszy już naówczas świątynie w Campanii, skrył się był na Caprejskiej skale.

„Wyspa ta, mówi Tacyt, nie ma żadnego portu, ledwie najmniejsze statki znajdują się tu gdzie schronić; samotność ta spowodowała zapewne, że ją Tyberysus ulubił, nikt bowiem przybić nie mógł do brzegu, żeby go z daleka nie postrzeżono...

„Zresztą, klimat jój jest miły, w zimie góra osłania od wiatrów północnych, w lecie na zachód zwrócona miłą jest szerokim na morza widokiem, przed sobą ma zatokę, piękniejszą naówczas jeszcze, póki ją wybuch Wezuwiusza nie zniszczył.”²⁷

Zamknięty w téj ustroni Cezar, nie przybył na pogrzeb matki, wymawiając się pracą i zajęciami pilnemi, i po cichu sprzeciwiając się apoteozie, którą ją uczcić chciano. W liście swym nawet do senatu naigrawać się zdawał z pochlebców, którzy przez cienie Liwii do serca jego trafić chcieli, i przypomniał to drugie swe szyderstwo, z jakim przyjął posłów greckich, którzy przybyli z późném

²⁷ *Wyspa ta, mówi Tacyt, nie ma żadnego portu... póki ją wybuch Wezuwiusza nie zniszczył* – L. IV Tacyt [Roczniki IV, 67]. [przypis autorski]

ubolewaniem nad śmiercią syna jego Drusa, odpowiadając im: – Że równie ubolewa nad stratą, jaką ponieśli przez śmierć mężnego rycerza Hektora...

Zgon ten ostatnią zerwał tamę, wstrzymującą szaleństwa Tyberysza i Sejana, które stariej matki mimowolne poszanowanie hamowało. Wraz po jej śmierci, Cezar dopomnił się u senatu o głowę Agrippiny, żony Germanika i syna jej Nerona.

Pierwszy raz może senat przerażony umilkł, nie śmiejąc dać odpowiedzi. Jeden Messalinus Cotta wyrwał się z wyrokiem śmierci usłużnym, inni ust otworzyć nie śmieli, bo lud przywiązany do rodziny Germanika, otaczał izbę i warczał groźny.

Sejan się wściekał, Tyberysz ponowił zaskarżenie i spodleni ludzie oddali mu na pastwę nieprzyjaciół.

Teraz już zausznik Cezara sam panował w Rzymie, a im się bardziej przeciwko niemu szerzyły tajemne pisma, szyderskie słowa i podrzucane satyry, tym szalał groźniejszy, poduszczając donosicieliw ponętą grosza i nagrodami.

Postrach śmierci wywoływał najzagorzalsze pochlebstwa, na forum stawiano mu posągi, w świątyniach popiersia, poczęto przysięgać na imie Sejana, łącząc je z Tyberyszowem i obu stawiając na równi.

Choć zdala Cezar już był uwiadomiony o wszystkim, lękał się śmierci od tego, któremu dał władzę, ale podejrzeń okazywać nie śmiał, aby nie przyspieszyć wybuchu.

Owszem, był dlań coraz łaskawszym, serdeczniejszym, im więcej się go obawiał, tém zbliżał doń czulej, nie wiedząc jak najniebezpieczniejszego ze wszystkich pozbyć się współzawodnika. W tej chwili właśnie skrywanego niepokoju znajdujemy go na skalistym brzegu Caprei, otoczonego małym dworem wiernych, oczekującego co chwila wieści strasznej lub przynieść mu mającej głowę Sejana.

VIII

Dzień się miał ku zachodowi, niebo było wypogodzone i jasne, wiatr chłodny zawiewał od północy, morze błyszczało bez zmarszczki, a z wierzchołka stromego brzegu naprzeciw przylądka Minerwy widać było niezmierną przestrzeń mórz i lądów, wśród przezroczystego powietrza malujących się tak wyraźnie, jakby je czary jakie ku wyspie zbliżały.

Gdzie niegdzie na tym uśmiechniętym brzegu Sorrentu, z Herkulesowej świątyni nad falami wzniesionej, z białych ołtarzy Faunów, dymek ofiar wznosił się w powietrze leciuchny i rozpływał powoli, nieznacznym wietrzykiem rozprędany jak nici pajęczce. Oko sięgało z łatwością przez zatokę Salernium, ku przeciwnym brzegom, do Helli i przylądka Palynura, i świątynie Paestu nawet, w sinawej dali omglone, widniały na złotych brzegach Lucanii.

W drugą stronę, z wierzchołka wieżycy strażniczej, przy Jowiszowej willi się wznoszącej, widać było jak na dłoni całe wybrzeże zatoki Cumańskiej, z zielonością okrytym Wezuwiuszem, z Herkulesowym portykiem, Retiną, starą Parthenope, Pausilippu grotą i willami nad morzem w zieloność utulonemi, Pitecusą i Pontią i ginącemi w dali krajami Campanii szczęśliwej ku Latium.

Między niebem pogodnym i rozplomienionem ostatnimi słońca blaskami, a morzem w którym się ono przeglądało, najczystsze barwy oblanem – brzegi Campanii i góry dalekie leżały złączone harmonijnemi tony powietrza, fantastycznemi kształty swemi urozmaicając ten obraz wielki, pełen majestatycznego wdzięku. Tylko po nad górami Tauru, za pyramidą Wezuwiusza, jak cienie przesuwaly się lekkie chmurki blado-liliowe, stanowiące głąb tajemniczą tego czarodziejskiego widoku.

Na wyspie cisza panowała przerażająca: żaden głos nie dochodził z jej dolin i woda fontann ledwie śmiała szemrać po cichu.

U stóp kamienistych małej zatoki, od strony Campanii, gdzie przybijały okręta, stały nawy milczące i jakby do odpłynienia gotowe, ale z ich malowanych wnętrzy żaden się głos nie dobywał. Na trzech rzędach wiosł zatopionych w morzu, trzy szeregi majtków, wsparte smutnie, milczały w oczekiwaniu.

Ozłocona promieniami zachodu, wyspa świeciła na tle szafirowego morza, jak z drogiego onyxu wykute cacko, ze swemi portyki, galeryami, kolumnami świątyni i pergulami willi obwieszonych winną macią. Od przylądka Minerwy u dworca Jowiszowego, nad samą zwieszoną przepaścią, na białych mozaik pokładzie, oparty o bronzowe balustrady, siedział mężczyzna przygarbiony i patrzył to na szerokie morze, to na góry otaczające. Najmniejszy szelest go niecierpliwił, każdy ruch na wyspie przerażał, ale znać było, że tę boleść trawiącą starał się ukryć, i choć drgnęło ciało zesłałe, wracało znowu do posągowego spoczynku, do bezwładnej obojętności.

Był to mąż lat już podeszłych, z wyłysiałą głową, okrytą wieńcem laurowym, włożonym nie tak dla ozdoby, jak z obawy piorunów, które go tego ranka zbudziły, rozlegając się po skałach; przygarbiony, wychudły, kościsty, twarzy dziwnie uderzającej. Całe tam długie i burzliwe wypisało się życie na czole pofałdowanem, w oczach osłupiałych i straszliwie wypukłych, w porytém wrzodami cielsku, pozalepianem liśćmi ziół różnych, w ustach zaciśniętych z dzikim wyrazem szyderskiego okrucieństwa, ubierającego się uśmiechem zimnym.

Oczy jego były zbladłe i szklane, głowa poorana fałdami, skóra na policzkach obwisła i pocentkowana bliznami już zgojonych ran, obok których nowe, rozdarte jeszcze, zaledwie krwawo poprzsyczały. Długa szyja, nieco zgięta, którą oplatały żyły wzdęte i jak sieć z pod skóry przeglądające, sterczące grube ramion kości z pod lekkiej *trabei* purpurowej, spiętej na ramieniu rzniętym kamieniem, wychudłych rąk długie palce, grzbiet przygarbiony, pierś sucha i włosom jak ręce okryta – postać tę czyniły przerażającą.

A jednak w obliczu stéraném i krwią namiętności nabiegłém, w rysach téj twarzy nieszlachetnemi żądzami spalonéj, widać jeszcze było, po za zgnilizną dzisiejszą, jakby świetniejszém promyk młodości.

Natura uczyniła niegdyś to oblicze piękném, życie je przetworzyło na maskę Satyra dzikiego, zgmiotła namiętność, obawa, tęsknota i najszkodliwsze ze wszystkich uczucie zazdrości i nienawiści.

Przez oczy, usta i głowę tę wypełzła, mnogie lata niezliczonemi przedarły się zgryzoty, porywami, tajonemi zemsty i boleścią, zostawując po sobie ślady sromotne i krwawe.

Tym starcem był Tyberyusz Cezar... sam jeden dziś na odludziu szukający zapomnienia przeszłości, drżący o teraźniejszość, niedowierzający ludziom, nie rad z siebie, milczący dnie całe, by szyderstwem lub wyrokiem śmierci na krótko otworzyć usta.

Nieco opodal od niego stali jakby czekając rozkazów kilku ludzi skrytych za kolumny portyku, a pomiędzy nimi odznaczał się młodzieniec wysokiego wzrostu, chudy, cery śniadéj i jakby opalonéj, którego rysy dziwnego, niepochwyczonego wyrazu, uderzały rodowemi arystokratycznymi cechami. Ale natura, dając mu oblicze piękne prawie, chciała tylko oznaczyć pochodzenie i typ ten sama starła w swych rękach, piętnując go na rozpasanego szaleńca. Cajus Caligula, syn Germanika, nie miał, mimo pięknych rysów, szlachetności w twarzy; oczom jego wpadłym i jakby obłąkanym, ustom dziwacznie wykrzywionym, gdy je mowa otwarła, brakło wyrazu i powagi; czoło szerokie a niskie, nierówne i pogarbione jakby niedokończonego popiersia, które rzeźbiarz porzucił, nie błyskało geniuszem, zapałem, ani nawet dumą; znać było, że myśli w nim mieszkać ciasno.

Na głowie włos powiewał cieńki i w części już pełznąć zaczynający, choć młodzieńcze to oblicze nad dwadzieścia kilka lat więcej nie okazywało. Ale i te już ciążyły na tym wyrostku, zawczasu wyniszczonym nieustannie podżeganą rozpustą.

Cajus miał na sobie tunikę lekką i długą po kostki, bez rękawów, i togę, której złociste obszycie w greckie meandry całą było ozdobą; na nogach jakby dla przypomnienia przewiska, które mu żołnierze niegdyś nadali, pieszcząc się z ulubionego wodza dziecięciem, *caligae*, perłami szyte.

Oko jego z za kolumn śledziło każde poruszenie przybranego ojca i pana, a myśl nim tylko zdawała się zajęta.

Daléj nieco stojące dwie jeszcze postacie, w greckie purpurowe *trybomiona* odziane, z głowy łysymi i pokorną postawą, tém się tylko od siebie różniły, że jeden był wychudły i połamany a zgięty jak stara winna latorośl sękata, drugi Ezopowy garb nosił na grzbiecie. Odzież obu jednaka, zdradzała domowników Cezara, a na licach ich malowało się znużenie i jakby tęsknota, która w téj chwili, gdy od nikogo postrzeżonymi być nie mogli, mimowolnie wybiła się z pod dźwiganéj maski służebnéj.

Głębiéj jeszcze, w długim marmurowym portyku, patrzył na morze, przechadzając się, starzec siwy, z długą brodą białą, w szacie filozofa, brunatnéj, poplamionéj i zszarzanéj, z założonemi na piersiach wyschlémymi rękami...

Wśród tych popiersi, napiętnowanych namiętnościami różnemi, w konwulsyjnym jakiémś drganiu stężałych – wspaniale odbijała się ta głowa starca Thrasylla, piękna, spokojna, poważna, acz chłodem śmierci spowita. Znać było, że życie nie potrafiło przygnieść tego człowieka, choć nad nim wielkiém ciążyło brzemieniem... oczy choć wpadłe, patrzyły pogodnie na morze i Surrentyńskie brzegi, usta były smutne ale przymknięte łagodnie, a mimo wieku biała i zarumieniona skóra świadczyła o życiu wstrzemięźliwém...

Thrasyllus był astrologiem i wieszczbiarzem: on jeden, z mnogiej liczby swoich współzawodników, prześladowanéj i rozpedzonej, pozostał przy Cezarze, bezpieczny dotąd i spokojny, ze stoicką odwagą i obojętnością patrząc na krew, mordy, własne niebezpieczeństwo i przemiany dziwne, którym świat wkoło podlegał... Nic go zachwiać i ustraszyć nie mogło.

I w téj chwili, choć z między białych słupów przechadzającemu się ukazywała straszliwa twarz głęboko zadumanego Cezara, ze swym uśmiechem kamiennym, groźnie pomarszczoném czołem i drgającą niecierpliwym niepokojem piersią – ten widoczny dlań stan zburzenia władcy, który życie

wszystkich miał w rękach, nie poruszał Thrasylla. Chodził tak po portyku Jowiszowej willi, jakby po ojczywym brzegu greckim w dniach spokojnej młodości.

Za ścianą brzezną, co portyk dzieliła od wewnętrznego atrium, przez odrzuconą zasłonę, która drzwi na pół tylko okrywała, widać było w głębi na ławie kamienną jeszcze jedną postać, wyrostka nadzwyczajnej piękności, siedzącego nieruchomie z opuszczonymi rękami i zwieszoną głową. Gdyby nie włosy ciemne, wonnościami złane, i w splotach długich wijące się po białej szyi, można go było z razu wziąć za posąg młodego Apolla, dłótem Praxytelesa dobyty z paroskiego kamienia. Cudnych to kształtów było dziecko, zaledwie dorastające i dziewczycym wdziękiem młodości oblane. Lekka szata z białej tkanki zaledwie mu pierś i część ciała okrywała, zostawując nogi, szyję, ramiona utoczone marmurowej białości, jakby umyślnie dla podziwu obnażonemi.

Smutny chłopak siedział tak pochylony, z głową, z której spadały włosy czarne, z rękami na kolana opuszczonemi, w postawie zadumana tak wdzięcznej, że zdala stojące posągi zdawały mu się zazdrościć. Piękne jego ręce i nogi, naturalnym instynktowym ruchem ułożyły się w artystyczną całość, tak wdzięczną, że przechodzący Thrasyllus stawał niekiedy, aby nań dłużej popatrzeć.

Ale chłopak nie widział ani starca, ani innych przesuających się po cichu ludzi, ani malowanych ścian co go otaczały – wzrok miał wlepiony w ziemię, a mokra powieka zdawała się łzą błyszczyć niedosuszoną, i myśl gdzieś puściła się tak daleko, że jój nic ku terażniejszości zawrócić nie mogło...

Wyrostek ten zwał się Hypathos i był nieszczęśliwym Tyberyusza ulubieńcem.

Cezar, zwrócony twarzą ku Polidonii brzegom, długo tak siedział nieruchomy prawie, parę razy tylko krzyk przelatującego ptastwa na twarz jego chmurę groźb pełną wywołał; potem nagle obrócił się w przeciwną ku Rzymowi stronę, i znowu długo okiem błyskami zachodu oslepił w morze się wpatrywał.

– Cajus! – zawołał na młodzieńca stojącego najbliżej – spójrzyj ku Pitecusie, – nic-li tam nie widać na morzu?

Caligula wystąpił szybko, posłuszny, z za słupów, przyłożył rękę do czoła i począł patrzeć uparcie na uspokojone fale...

– Nic, ojcze – odezwał się po chwili – ani żagla, ni okrętu...

– Nic i nic! – głucho powtórzył Cezar – nic... I dodał wiersz jakiś grecki, o który, zaledwie dosłyszany, dwaj grecy w czerwonych sukniach jęli się spierać, przypisując go jeden Homerowi, Hezydowi drugi, ale wrzawa powstająca, spójrzeniem zaognionych oczów Tyberyusza w ołowiane zmieniła się milczenie.

Cezar wstał z ciężkością, a raczej dźwignął się z siedzenia, powiódł jeszcze po morzach oczyma, lekki uśmiech przebiegł mu usta zsiniałe i miał się skierować ku portykowi, gdy nagle, jakby z pod ziemi wyrosła, od strony morza ukazała się czepiająca po stromych skałach i po nad nie wyskakująca postać człowieka... Przerażony nagłym jój ukazaniem cofnął się Cezar i zadrzał chorobliwie, ale wnet pohamował strach i stanął jak wryty, bledniejąc tylko od gniewu.

Z téj strony budowy willi były całkiem niedostępne, góra ścianą prawie pionową tonęła w morzu, kamienie jój gładkie ledwie gdzie jaką szczyrbą się rysowały; zdawało się niepodobieństwem, by stopa człowieka wdarła się tędy do strzeżonych wkoło mieszkań pana. Zjawienie się więc ludzkiej postaci nad tą przepaścią nieprzystępną, przeraziło niespokojnego już Tyberyusza. Krzyk gardłowy, stłumiony wprędce, do stóp jego zwołał natychmiast co żyło – Cajusa, filozofów i dalej ukrytych niewolników i strażę.

Nie było jednak nic tak groźnego w tém niespodzianém zjawisku, co tak pana świata ulęknęło, a na strach jego poglądało z uśmiechem... śmiałek ów był prostym rybakiem z Caprei, chcącym się docisnąć do pana z ofiarą, której inaczej złożyć nie mógł, gdyż niewolnicy dopuściłby go nie chcieli. Trzymał on w ręku ogromną barwę, rybę naówczas najwyższą cenioną takiej wielkości, jakiej okoliczne wody nie miały, i sądził zapewne, że go Cezar obficie za przysmak ten obdarzy – ale się bardzo omylił w rachubie.

Tyberyusz zadrzał; nędzny ów rybak i Grecy i Cajus obawę jego spostrzegli; pomścić się więc musiał za to i trzęsąc jeszcze, rozkazał ową szorstkię łuski barweną nieszczęśliwemu twarz wytrzeć.

Ze śmiechem i wyciem rzucili się niewolnicy na osłupiałego rybaka, który jedną nogą stojąc jeszcze nad przepaścią, drugą sparty o balustradę wił się cały pokrwawiony, wołając:

– O! dzięki jeszcze bogom, żem mu raka złowionego razem nie przyniósł.

– I tu go dostanie! – rozśmiał się starzec skinąwszy na swoich.

Z okrucieństwem nieludzkiem, jęczącą ofiarę wstrzymano za włosy nad skałą, dopóki nie przyniesiono raka, którym twarz poranioną na nowo mu odarto.

Naówczas nasycony skinął Cezar i nędznik ów zepchnięty nagle, znikł na skałach rzucony ku morzu.²⁸

W czasie téj sceny okrótnej, twarz Tyberyusza wysiłkiem woli przybierała znowu wyraz spokojny, a z przytomnych Cajus jeden spoglądał na męczarnię z uśmiechem wyuzdanęj swawoli; greccy retorowie jak na igraszkę niewinną z podłą istotą, Thrasyllus z krwią zimną przywykłego już do podobnych widoków i zastygłego człowieka. Krzyki rybaka wywołały także osłupiałego chłopca z jego kryjówki, wybiegł Hypathos, obejrzał się smutnie i szybko zakrył sobie oczy przerażony. Zdawało się z razu jakby chciał biedz ku nieszczęśliwemu, ale nim miał czas ruszyć się, już go na skale nie było.

Służba tylko pańska zwieszona patrzyła w dół ciekawie, a Cezar skinąwszy na Thrasylla, z nim razem poszedł drogą marmurową, zwieszoną nad przepaściami i schodzącą powoli ku brzegowi od strony Cumańskiej zatoki.

Cajus i Grecy ustąpili i skryli się za kolumny; tylko niewolników tłum, wywołany z kryjówek, przyglądał się morzu i skałom stromym, chcąc dójrzeć co się stało z ciałem rybaka. Hypathos podbiegł także ku galeryi i piękną swą główkę zwiesił nad morze, szukając go niespokojnymi oczyma.

– Gdzież się podział? – zapytał niewolników.

– W pałacach Syren – rozśmiał się jeden z ludzi – zaniósł im swoją barwenę i raka.

– Upadł więc? – spytał chłopak.

– A mogłoz być inaczej? – odparł jeden z niewolników. – Patrz-no chłopcze – dodał – nie wiem jak on tu się wdrapał? Ale czegoż człowiek nie uczyni dla złota? Nie lepiej rozumiem jak potrafił zlecieć tak szybko, żeśmy ciała jego na wodzie, ani trupa na skałach, ani krzyku, ani pluśnięcia nie dopatrzyli i nie słyszeli...

Wszyscy tak przypatrywali się ciekawie w dół za biędnym rybakiem, a Hypathos ze szczególném zajęciem zdawał się śledzić co się z nim stało... ale owe zjawisko, krwią zbroczone, jak wyrosło z ziemi, niepojętym też sposobem znikło w powietrzu.

– Patrzcie-no! – rzekł jeden z niewolników zafrasowany – byleby to nie był duch jaki i bóstwo morza, które Cezarowi-Bogu samo przyniosło dań powinna... człowiekby zginał przecie... A jeśli się ono pogniewa za to przyjęcie i mścić się będzie?

– Cichoż! – zawołał drugi – gdzieżeś ty bóstwo widział w chlamydzie podartéj, tak ogorzałe od słonej wody i słońca?...

– Mówią, że różne przybierają kształty...

– Lecz i Cezar sam jest bogiem – przerwał drugi – uczuły i poznał w nim gościa z morskiej głębiny.

Hypathos stał milczący, a wciąż bacznie na dół spoglądał... Niewolnicy szepcząc odsunęli się od niego, popatrzyli w przepaść i znikli powoli schodami, znowu spuszczać się do podziemnych camerelli swoich.

²⁸ śmiałek ów był prostym rybakiem z Caprei, chcącym się docisnąć do pana (...) przyniesiono raka, którym twarz poranioną na nowo mu odarto – Swetoniusz, *Żywot Tyberiusza* 60 [gdzie mowa o złowionej languscie, skorupiaku morskim, nie o raku, który jest stworzeniem słodkowodnym; nie ma też wzmianki o zrzuceniu rybaka do morza]. [przypis autorski]

IX

Cezar powlókł się z wolna stroną od Pitecusy, po nad samemi skał krajami.

Z tego boku budowa także graniczyła z przepaścią i powietrzem, drugą dotykając najeżonych ścian kamiennych.

Jak wstęga jasna, wiła się ona samym brzegiem, wyłożona mozaiką, opasana balustradami złoconemi, przybliżając tak ku morzu, ciemniejącemu w głębi, że spójrzenie w dół mimowolnym napełniało strachem. Gdzie niegdzie nawet, jakby dla powiększenia tego wrażenia, rozstępowały się balasy, gładka posadzka zawisała nad wodą, a krok tylko dzielił od niechybnej śmierci przechodnia; powoje i winne latorośle dzikie ubierały w tych miejscach przerwy ogrodzenia, zakrywając niebezpieczeństwo. Nieco dalej, droga ta nieznacznie spuszczała się ku dolinie, ryjąc w głąb skały, i wiodła pod ścianą ociosaną do łaźni, której mury kąpały się w morzu.

Szedł tędy Cezar z Thrasylllem, zatrzymując się co chwila, jakby nie pewien był, czy użyje przechadzki: czy do wieczornej zstąpi kąpieli; twarz miał posępną, zadumaną, niekiedy oko jego zbladłe i wydęte spozierało ukradkiem na spokojnego filozofa badawczo, ale tak, aby wejrzenia nie postrzegł, ani się badania domyślił.

Thrasyllus stąpał poważnie, powoli, bez zbytecznego uniżenia, z obojętnością stoicką, towarzyszącą mu we wszystkich życia przygodach.

– Przyszłość ci wiadoma? – zapytał stojąc nagle Tyberysus – nie prawdaż Thrasyllu?

– Przyszłość objawiają nam bogowie i od bogów dana nauka... są chwile – rzekł powoli starzec – w których się ona przed nami odsłania, są dni ciemne kiedy ją dojrzeć trudno... i Sybille nie codzień wróżyły...

– Córka Hekuby dniem przepowiadała i nocą! – zarzucił Tyberysus.

– Może dla tego nikt jój też nie wierzył! – odparł starzec.

– Nie zawiodłem się nigdy na przepowiedniach twoich – dodał Cezar – wiesz, żem innych astrologów wygnać i wymordować kazał... było to plemię oszustów... W ciebie wierzę jednego, Thrasyllu, tyś mi jeszcze w Rhodos przepowiedział Rzym i Capreä... powiedzże mi... jasno widzisz resztę mojej przeszłości?

– Tak! są dni Cezarze – z niepewnością jakąś, wahając się i wpatrując w niego, odpowiedział Thrasyllus.

– A dzisiejszy?

– Nie wiem... chciałżebyś badać mnie w téj chwili?

– Może... ale nie o siebie... – uśmiechając się dziko, zawołał Tyberysus.

– Będę ci posłusznym, w miarę sił, jakie mi ześlą bogowie...

– A więc, powiesz mi... nie moją, twą własną przyszłość... Co ciebie czeka w téj chwili? co zgotowano dla ciebie?

– Dla mnie? – cofając się krokiem odezwał starzec – i widać było jak cień przesuwaną się po twarzy jego błądź, po której żywszy trochę rumieniec oblał ciało... – Dla mnie? powtórzył poglądając po niebie, jakby w niem szukał skazówek.

– Co ci jest? zdajesz się mieszać? – spytał Cezar szydersko.

– Nic mi nie jest... nie widzę jeszcze jasno... rozwidnia się! postrzegam! W istocie... śmierć mi zagraża niechybna, którą tylko cud bogów odwlec może... tak jest! przyszła godzina libacyi bogom podziemnym i ofiary Eskulapowi...

Cezar, pomimo nawyknięcia do ukrywania swych uczuć i wrażeń, zdawał się widocznie zdumiony i przelękły.

– Gdzieżeś to wyczytał? – zapytał.

– W sobie – rzekł uspokojony Thrasyllus. – A tém ciężejby mi było umierać – dodał po chwilce – że śmierć moja o rok tylko poprzedzi największe dla Rzymu nieszczęście.

- Nieszczęście Rzymu? jakie? mów wyraźniej – podchwycił Tyberyusz.
- Śmierć twoją, Cezarze – śmieliej zawołał wieszczbiarz...

Na tę wzmiankę twarz pańska pobladła straszliwie i powleczone na chwilę tą białością trupią, ukazała się straszniejszą jeszcze, bo na niej wszystkie plamy wrzodów i blizny stare schorzałego ciała zarysowały się sino.

Stał chwilę niemy, potem rękę wyciągnął ku astrologowi, a on przyklękawszy ucałował drżącą dłoń Cezara.

- Nie obawiaj się – rzekł – niebezpieczeństwo minęło; ale ci Apollo dobrze podszeptał! – I z lekka klasnął na niewolników.

Jak z pod ziemi zjawili się nastawieni po bokach oprawcy z za zielonych krzewów gałęzi.

- Szanujcie Thrasylla – rzekł im Tyberyusz – życie jego związane z moim...

Ta okrutna ze starcem próba trwała tylko chwilę; niebezpieczeństwo, którego tak przytomnie unikał, co go bladością okryło, zdawało się już być zapomniane, filozof odzyskał całą moc ducha, spokój i powagę, jaką miał przed chwilą, stał przed Cezarem, gotów na jego rozkazy, milczący i chłodny...

Tyberyusz nie na niego już, ale w stronę Ostii spozierał bacznie, coraz szukając po morzu żagla, któryby mu dobrą wieść przynosił, śledził jakiegoś umówionego znaku; niepokój widocznie coraz nim silniej owładynał.

- Thrasyllu! – rzekł nareszcie z uśmiechem wymuszonym – co mi z Rzymu przyniosą?

- Sprawiedliwą pomstę bogów! – odparł dwuznacznie filozof.

Oba zamilkli na długo; Tyberyusz, odstąpiwszy kilka kroków, rzucił się na poduszki brązowego siedzenia, które tam stało w portyku.

Wieczór powoli mrokiem przejrystym osłaniał dalsze obrazu przedmioty, nikły w jego głębiach góry ciemniejące i zlewające się z tłem niebios, wyspy dalsze, morze zaczynało tracić żywą swą lazuruową barwę.

Na wschodzie kilka gwiazdek blado zajaśniało i chłodny wietrzyk powiał, wstrząsając lekko liście figowych drzew i bluszczów – głęboka cisza rozprzestrzeniła się dokoła.

- Cajus! – zawołał Cezar domyślając się, że posłuszny wychowanek nie daleko być musi.

I Cajus nadbiegł natychmiast posłuszny.

– Ślij na brzeg, czy nawy moje gotowe? czy ludzie stoją przy wiosłach? może mi będą dla kogo potrzebne... niech majątkowie pod śmierci karą nie opuszczają stanowisk swoich...

Cajus znikł, biegnąc tak szybko jak się wprzód zjawił, a Thrasyllus także uszedł po cichu z przed oczów Cezara.

Tyberyusz pozostał sam i patrzył uwieszonym, nieruchomym wzrokiem na brzegi Campanii coraz chmurniejsze i niknące...

Już na nich tu i ówdzie, w mroku wieczora zapalały się światełka; Neapolis, Retina, głębiej ukryte Pompejanum ze swemi budowy białemi, już tylko iskrami zapalonych rozróżniały się światełek na czarnej szacie nocy. Od Wezuwiusza, jakby mgła błękitna, położyła się na falach morskich i kołysana wiatrem lekkim, to osłaniała część brzegów, to ją z pod zasłon ukazywała.

Nagle, w stronie Pausilippu, na górze błysnął ogień jasny umyślnie rozplomienionego stosu... Cezar ujrzał go, powstał gwałtownie z siedzenia i mimowolnie z ust drżących okrzyk mu się wyrwał radośny.

- Złożmy ofiarę Fortunie zwyciężkiej Cezarów! Sejan obalony!

W istocie, to płomień na górze oznajmywało Tyberyuszowi, że w tej chwili rozkazy jego wykonanemi zostały, że wolniej mógł piersią odetchnąć, że jeszcze był panem.

Nie bez przyczyny się niepokoił tak bardzo, choć swobodną myśl i wesele udawał. – Rzym już mu się wyślizgał z dłoni, Syn Strabona o lepszą walczył z Cezarem, dlań nawet stając się strasznym.

Ciemieźca ten, pozbywszy się Drusa, sięgał napróżno po rękę jego wdowy, aby się do rodziny, Augustów przybliżyć; odepchnięty, zamierzył opanować władzę i strachem panicznym ją zdobywał.

Panował on w Rzymie, gdy Tyberysz tylko w Caprei, i więcej go już czczono i szanowano niż starego wygnańca, który ze zwykłą sobie chytrą im mocniej się go obawiał, tém czuliej głaskał i większymi obsypywał dostojnościami.

Aż trudnym się już stało tego dowódcę pretoryanów i pana stolicy obalić; – Senat padał mu pod nogi, żołnierzy płatnych swawolą miał po sobie, strach błady imię jego czynił potężnym.

Musiał więc Cezar cierpieć i czekać, a w ostatku oprzeć się na cności i prawości Fulcjusza Triona konsula, którego znał charakter i odwagę. W tej chwili właśnie, zausznik Cezara, Sertoryusz Macron, posłuszny woli jego wykonawca a osobisty nieprzyjaciół Sejana, z listami do Senatu wysłany był do Rzymu tajemnie, mając sobie poleconym wywrócić przywłaszczyciela, chociażby uciekając się do środków ostatecznych, choćby obwołując Drusa młodego wodzem ludu.

Tym czasem znając potęgę Sejana, Tyberysz choć ufał zręczności Macrona, w niepokoju dręczącym oczekiwał na swój wyspie, nie wiedząc jeszcze czy ten krok zbawi go czy zgubi. Stały przez czas ten cały przygotowane okręty, na wypadek niepomyślniej wieści, gotowe starca i jego fortunę nieść na Wschód, zapewniając mu bezpieczną ucieczkę z garścią wiernych, Cajusem i Macronem.

Umówiony znak, który upadek Sejana zwiastował, długą tę chwilę niepewności tryumfem zakończył.

X

Twarz Tyberiusza na chwilę rozpromieniła się błyskiem ogni dalekich.

– Stało się – rzekł po cichu – żal mi tysego... zaprawdę, ale sam sobie zgrabę gotował?

Bogowie winni byli Cezarowi tę zemstę nad niewiernym sługą z błota dźwignionym... Złożmy ofiarę fortune zwyciężki... albo nie, czekajmy Macrona... tak lepij! Gwiazdy na niebie... czas spocząć i rozweselić się nieco...

Twarz jego, znowu pokonana, przybrała wyraz zimnej obojętności, a ktoby ją teraz ujrzał, aniby się domyślił, że przed chwilą błyskała ogniem zemsty nasycionej i radością dziką, tak wszystkie swe uczucia przywykł był jedną zimną maską pokrywać.

Nikt z dworu, prócz Cajusa może, nie wiedział znaczenia zapalonego na wybrzeżu ognia, a Caligula umyślnie tając co odgadł lub wyśpiegował, przybył w tej chwili wskazując starcowi stos zażegniony.

– Ojczy – rzekł – oto znak jakiś!

– Gdzie? – spytał Tyberiusz obracając się obojętnie.

– Tam, na brzegu Campanii... ten ogień zapalony na górze.

– Dla czegoż to ma być znakiem? – odparł stary zimno – wieśniacy zebrali suche gałęzie latorośli winnej i bawią się gdzieś przy ognisku...

Cajus zaciął usta.

– Ale to jak pożar wygląda!

Tak, pali się Gaurus! – rozśmiał się Tyberiusz... ludzie zapalili, Bogowie zagaszą... Zawołać Priscusa; czas spocząć po trudach myślenia i pracy.

T. Caesonius Priscus był jednym z najulubieńszych, najzaufañszych dworaków Tyberiuszowych; od lat kilku Cezar go był całę nowę dostojęństwem przyodział, dał mu: *officium a voluptatibus*, urząd posługacza rozkoszy, a Priscus, choć rycerz rzymski²⁹ nie wahał się przyjąć obowiązku i sprawiał gorliwie, naprzód w Rzymie, potem w swobodniejszej od oczów ludzkich Caprei.

Pod jego zarządę były wyrostki Cezara, dziewczęta, które wybrano do zabaw i posług przy ucztach, wymysły nowych rozkoszy i troska o znalezienie niespodzianych rozrywek dla zużytego starca.

Priscus dowodził tą kohortą nierządnic, gachów i zepsutych dzieci, które wnętra odległych willi kryły w sobie; on przez wysłańców swoich coraz to nowe ofiary dla Cezara zdobywał, pieniędzmi lub siłą, coraz nowe wymysłał widoki, aby obumarłe zmysły rozbudzić i strute życie napoić choć krótkim szalem. Ten nikczemny potomek dawnego rodu, dziś podły słuźebnik zepsutego pana, wyglądał jeszcze, mimo urzędu jaki piastował, na Rzymianina starych czasów. Był to mężczyzna młody jeszcze, rysów twarzy bardzo pięknych, zbudowany silnie, oczów wesołych i jasnych, wielkiej dumy w wejrzeniu; rozpusta nawet, o którą się ocierał, której służył, nie wygasiła w nim ostatków młodości. Zużycie tylko wczesne widać było za dnia w zsiniałych już lekko powiekach, wymokłej twarzy, zniewieściałym uśmiechu i łzawém wejrzeniu.

Wezwany, stawił się zaraz Priscus, i razem z nim ukazały się w portykach zapalone lampy, które tysięcem światel obwiodły galerye i kolumny. Wzdłuż drogi wiodącej ku morzu, po nad balustradami mozaikowanych wschodów, na górach i w dolinach, jakby czarodziejską dłonię duchów, razem zapaliły się płomyki lamp niezliczonych. Widok wyspy, która tak zapłonęła cała na jedno skinienie, na samą myśl Cezara, był zachwycający. Białe marmury, brony lśniące, oblane na wpół cieniami

²⁹ *urząd posługacza rozkoszy, a Priscus, choć rycerz rzymski nie wahał się przyjąć obowiązku* – Swetoniusz [Żywot Tyberiusza 42].
[przypis autorski]

przezroczystymi wieczora, na pół gorącym światłem lamp i pochodni, dziwnie pięknie malowały się na iskrzącym już od gwiazd niebie, w eterach, w których się zdawały zawieszane.

Ale twarz Tyberyusza była, jakby na przekór wesołemu obrazowi, smutną i posępną; znać umyślnie przybrał ją tą szatą, aby mu nie wykradziono z duszy wrażenia, którego doznawał.

– Gdzież jest Thrasyllus? – spytał – gdzie *Graeculi*? gdzie się podział Atticus? chodźmy...

– Dokąd rozkażesz? Panie?

– W dolinę, do gaju Wenery... niech tam zastawią ucztę wieczorną... chcę by i Thrasyllus w niej uczestniczył... i ty Cajusie... i wy wszyscy... Nie będzie nas ani za mało, ani zbyt wielu...

Spojrzał tylko na Priscusa, który zaraz pochód otworzył.

Cajus Caligula, dwaj Grecy retorowie, Zenon i Theodoros, Thrasyllus, poszli za Cezarem, którego wyzwoleńcy wzięli na ręce z przenośnym siedzeniem, rodzajem *octophorum* lekkiego, i drogą schodzącą w dolinę unieśli ku wskazanemu ustroniu.

Wszystkie te wille Tyberyuszowe, rozsiane po wyspie, połączone z sobą były szerokimi drogami, wysadzane białą i wzorzystą marmurową mozaiką. Miejscami zniżały się one powolnie na dół, lub szerokimi wschody wiodły na skał wierzchy, przesuwając między zaroślami i gajami, drapiąc nad gór szczyty i rozdzielając na liczne gałęzie. Jedną z tych dróg właśnie, Tyberyusz, niesiony na ramionach swych ulubieńców, zstępował powoli w dolinę, w której gaj i wille Wenery położone były. Miejsce to, jedno z najczęściej zwiedzanych przez niego, znajdowało się w osłoniętej zewsząd górami głębi i zasadzone umyślnie gajem pomarańcz, fig, kasztanów, powiązanych z sobą rzuconymi na ich gałęzie latoroślami winnymi. Do jednego z boków góry przyparta willa maleńka z żółtego marmuru afrykańskiego, wisiała nad zieloną doliną i gajem. Budowniczy oparł ją na wykutych w skale pilastrach i starał się uczynić tak przezroczystą i lekką, jakby nie z kamienia, a z trzciny i drzewa układał. Wschody z obu stron spartego na kolumnienkach wnijścia, obwieszane bluszczami, wiodły przez małą sień do wspaniałego atrium; w środku jego, na posadzce różowej biła srebrzysta fontanna, której brązową podstawę zdobiła postać nimfy przegiętej lubieżnie i wyrzucającej z ust wodę, rozbijającą się o konchę, którą trzymała w dłoni.

Z ganku budowy tej widać było całą dolinę, zamkniętą szczelnie stromemi skałami i jak kosz zieloności i kwiatów, napełnioną całą krzewami i woniejącymi ziołami. W pośrodku tylko łączka opasana chodnikami marmurowymi, tworzyła jakby arenę tego cyrku.

Wszystko to oświecone już było pozawieszanymi wśród drzew lampami, misternie poumieszczanymi w gałęziach, ale jeszcze puste... Ptacy tylko, zbudzeni światłem, szczebiotali na swych gniazdkach. W górze, strop tej rozkosznej sali Cezara stanowiło sklepienie szafirowe nieba włoskiego, wysadzone gwiazdami tysiącem...

W głębi domostwa, którego obszerne *atrium*, to jest pierwszy podwórzec wewnętrzny, ostawiony kolumnami do koła, ze trzech stron otaczała wykuta skała, już widać było po za wodotryskiem krzątające się sługi i przysposabiających ucztę wieczorną; ale Cezar i jego biesiadnicy nie wprzód zasiedli, póki w małych bocznych izbach łaźiebnych, ciała i sukni nie przygotowali do uczty. Tuż niżej były te kąpiele zawsze gotowe, w których odzież i wodę i niewolników podstatkiem znaleźli.

Tymczasem we wspaniałej sali jadalnej, obwieszanej lampami brązowymi, wystawiającemu po większej części nagie i swawolne postacie satyrów i faunów, ulubione staremu rozpustnikowi, zastawiono już stoły i siedzenia a raczej łoża do wieczerzy.

Tricliniarches, z podwładnymi sobie *structorami*, porządkował naczynia i zapowiadał porządek, jakim półmiski podawać miano, a za gęstą zasłoną, dzielącą od małych bocznych izdebek, zakryci fleciści greccy, gotowali się pieśnią i rozkosznymi dźwiękami towarzyszyć spełnianym czasom.

Po chwili rozsunała się w głębi ciemna zasłona i Tyberyusz, obmyty, obłany wonnościami, okryty szeroką suknią, którą zwano *Synthezą*³⁰, w różnokolorowe i złote szaty wzory – ukazał się na

³⁰ szeroka suknią, którą zwano „Synthezą” – sukni tych tylko do uczt rozpasanych używano [w domowym zaciszu, na obiady i uczty,

progu. Zwiędły wieniec lauru na jego skroni zastąpiła przepaska purpurowa ze złotem, rodzaj korony, używanéj przy pijackich biesiadach. Twarz jego jednak w téj nowéj aureoli wcale się nie zmieniła i wyglądała tak ponurą i dziką, niedocieczoną i tajemniczą jak wprzódy. Ani wesela ani niepokoju nie było widać na niéj, jakieś znużenie tylko i obojętność szyderską.

Za nim w świeże przybrani szaty, w wieńcach, pokazali się z kolei wezwani biesiadnicy, Cajus ze swém żółtkłém obliczem i dzikim wzrokiem, który niewolniczo pełzał, spotykając Tyberysusa oko; spokojny Thrasyllus, w nieco z pyłów oczyszczonej odzieży i wieńcu z prostych liści dębowych, dwaj retorowie greccy i Hypathos w lekkiej przezroczystej tunice białej, z twarzą zawsze smutną, czołem zasępiónym, choć ustom na gwałt musiał się kazać uśmiechać.

Triclinium, to jest troiste łóże Cezara, w głównym rogu sali było przysposobione tak, aby zeń całą przestrzeń i wszystkich wygodnie mógł widzieć gości. Młodzi niewolnicy pomogli mu umieścić się na miękkich poduszkach, na których obok siebie wskazał miejsce jedno Thrasyllowi, drugie pozostałe (choć na nie chciwie Cajus poglądał) oddał Hypathosowi, sadząc go u boku swego. Dzieciak z widocznym wstrętem i obawą przysiadł się nieśmiało, spuszcżając oczy łzawe, a starzec w czarne włosy jego wyschłe swe palce i dłoń pomarszczoną zanurzył.

Cajus siadł, obok mając Priscusa i Valeryusa Aster, który towarzyszył niegdyś Tyberysuszowi na wygnanie. Był to dobrze podżyły mężczyzna, wielkiej otyłości i znać szczęśliwego stanu zdrowia, bo różowe jego policzki od sąsiedztwa wszechwładnego pana nie pobladyły wcale, a oczy patrzyły obojętnie na świat, który mu najlepszym zdawał się światem. Cezar cenił go i szacował za to właśnie, że w nim głupotę znalazł, posłuszeństwo i dobry humor, tak wielkie, tak nieograniczone, iż na każde zawołanie Aster śmiał mu się, jadł, zapijał, swawolił jak posąg ożywiony nie człowiek czujący, nigdy nie namarszczył się, nie uląkł nigdy, a czaszy magistralnej, choćby dziesięćkroć, nie odmówił. Żartował z Astera, Aster przyjmował żarty, nawet krwawe i bolesne, nigdy się nie poskarżył, a co lepsza, pewnym mógł być Tyberysusz, iż go ten człowiek nie zdradzi, bo nigdy nie zrozumie i nie odgadnie. Pochodził on ze staréj rodziny plebejuszowskiej, ale go łaska Cezara, któremu ochoczo dotrzymywał na biesiadach, podniosła aż do miejskich godności.

Wprawdzie imienia ich tylko używał, nigdy nie pełniąc obowiązków. Cezar, dla wygodnej jego głupoty, wziął go téż z sobą do Caprei.

Na trzecim łóżu leżał Coccejus Nerva... gdyż retorowie greccy znikli w małej izbie obok, do osobno zastawionego spiesząc stołu i mając się dopięro na zawołanie ukazać, gdyby Tyberysuszowi przysła chętką pogwarzyć lub posprzeczać się z nimi, zadając im nierozwikłane jakie pytanie.

Coccejus Nerva konsul, który sam pozostał na łóżu usunioném nieco, był postacią wśród tego towarzystwa odznaczającą się wyrazem twarzy prawie martwym ale poważnym.

Wiek ten ucisku i niewoli zmuszał wszystkich kryć się z uczuciem, kłamać twarzą; ale tu znać było, że nie bojaźń, tylko stoicka moc charakteru, oblicze konsularne czyniła tak wspaniale pogodnym. Piękne rysy twarzy jego, czoło nieco łyse, oczy ciemne, ogniste, usta małe do zbytku i milczące, zdobił ten spokój, z jakim sztuka starożytna, jako wyłącznym swém piętnem i cechą, Bogów pogańskich malowała i rzeźbiła. Rzekłbyś że chciała nieustannie poprawiać co niedorzeczne psuły baśnie, czyniąc bóstwa, którym przypisywano dziwaczne namiętności, chłodnemi i zobojętniałemi. Wszystko téż co (greccy artyści szczególniej) ubóstwić i podnieść chcieli, otaczali tym spokojem i majestatem, którego pragnął świat pogański, ale doścignąć nie mógł... Dla tego może przyobłókl weń wszystkie swe ideały. Nerva miał właśnie tę twarz piękną rzymskiego posągu, białą, uciszoną, chłodną. Cała jego postać zresztą równie była wspaniałą, ubiór ciemny, a obwinięty togą, którą zwykłym obyczajem do uczy na ramie zarzucił – przypominał figury rzeźbione na sarkofagach.

Rzymianie wkładali luźną, barwną *synthesis*, gdyż oficjalną togę uważano za ubiór zbyt kłopotliwy podczas posiłków, spożywanych w pozycji leżącej; noszenie *synthesis* poza domem, w miejscu publicznym było niestosowne]. [przypis autorski]

Na konsularném miejscu zasiadłszy (tak pierwsze zwano) Tyberyusz, podniósł purpurą opasaną głowę i spójrział długo po współbiesiadnikach otaczających stoły; – zimny wyraz wszystkich twarzy go uderzył.

– Na Bachusa! – rzekł – nie wiecie się nawet w uczie! – cóżeście tak ponurzy... wy wszyscy? tak zamyśleni? U stołu wszak trosk życia pozbyć potrzeba i choć na chwilę odpocząć... Aster... a tobie co?

– Mnie? – podchwycił z gotowym uśmiechem Valerius – mnie boski Cezarze? nic, chyba to żem przez dzień cały słońca mojego nie oglądał!

– E! pochlebca! – odparł Tyberyusz pół-szydersko – muszę ci za to greckim wierszem zapłacić. I począł epigrammat Platona:

Asteras eisatreis Aster emos... ³¹

Valerius dobrze zrozumiał czy nie, ale schyliwszy się począł wielbić naukę, dowcip i łaskę pana, który do niego raczył zastosować wiersz tak rozkochany.

– Czyj wiersz? – spytał Cezar – Thrasyllu?

– Boskiego Platona! – odparł filozof...

– A kto z was potrafi nam go przełożyć po rzymsku, jeżeli podobna naszej mowie schwycić delikatny odcień helleński? spróbujcie!

Wszyscy zamilkli, nie było tam tak wprawnych szermierzy i w końcu sam Cezar począł powoli przekładać, oglądając się jakie uczyni wrażenie.

*Stella meus, stellas dum suspicis, ipse utinam sim
Caelum, oculis ut te pluribus aspiciam...* ³²

– Aleś ty Cezarze niebem i Jowiszem, a jam najmniejszego prochu z gwiazd jasných nie godzien przywdziać imienia! – zawołał uniesiony Aster.

– To prawda, że dziwna jakaś igraszka losu tego byka gwiazdą przezwiała! – rozśmiał się starzec.

– No! świeć-że nam rad nie rad Asterze!

– Któż przy tobie jasným się wyda! – zawołał Aster zmieszany, nie wiedząc, czy dziękować, czy jeść, bojąc się, by jadło mu nie uciekło – cóż ja biedny?

Rozmowę tę przerwało w samą porę wejście posługujących dziewcząt z orszaku Priscusa; oczy Tyberyusza skierowały się ku nim.

Jedne z nich niosły półmiski, drugie *dioty* (naczynia do wina i wody) amfory, czasze kryształowe i *kratery*, pełne już wina z wodą ogrzanego, które przy uczie pijano, posypane po wierzchu liśćmi róży i jaśminu.

Były to dobrane urodą dziewczeczki, ledwie wyszłe z dzieciństwa, porwane gdzieś rodzicom i wyuczone służyć za obrazek lubieżny dla starca, na zabawkę biesiadnikom.

Strój ledwie je osłaniał, tak był krótki i przejrzysty, jątrzył tylko wzrok, nic nie ukrywając przed nim – złożyły się nań tkaniny wschodnie, tak delikatne jak mgła, szyte rękami jakiejś niewolnicy Arachny w złote i purpurowe desenie... Ręce, ramiona, stopy dziewcząt nagie, zdobiły kolce złote, znaki niewoli razem i błyskotki, nasadzone drogim kamieniem... Priscus tak umiał dobierać, że w licznym orszaku ani dwóch twarzy, ani dwóch obliczów podobnych sobie wyrazem nie było – każde odznaczało się inném pochodzeniem i charakterem.

³¹ *Asteras eisatreis Aster emos...* – fragment jednego z epigramatów Platona (V–IV w. p.n.e.) zachowanych w dziele Diogenesa Laertiosa (z III w. n.e.) *Żywoty sławnych filozofów* III, 29; fragment ten w zapisie bez transkrypcji: ἀστέρας εισαθρεῖς ἄστηρ ἐμός... [przypis edytorski]

³² *Stella meus, stellas dum suspicis...* – jest to w rzeczywistości przekład Muretusa, renesansowego francuskiego humanisty z XVI w., pochodzący z jego komentarza do wiersza Katullusa *Ad Lesbiam*. [przypis edytorski]

Nie mało to trudu i zabiegów kosztowało zręcznego dostarczyciela, który pierwociny każdej przywożonej niewolników gromady oglądał i po całym świecie znanym miał swoich wystawców. Na twarzy jednej znać było ród grecki, a profil przypominał piękne stare medale; druga z dalekiej przygnana Armenii, czarnym włosom i okiem a śnieżną ramion białością przedstawiała lud ów piękny, zhołdowany Rzymianom; trzeciej typ judejski, smętny ale czarowny, zachwycał tajemnicą i tęsknotą, patrzącą z głębi czarnej, w łzach płynącej źrenicy; nawet czarna etiopka, od której hebanowego ciała odbijały jaskrawo koralowe naszyjniki, uśmiechała się wśród grona tego, białemi jak kość słoniowa ząbkami.

Wszystkie piękne były w swoim rodzaju, a tak dobrane i wyuczone każdego ruchu, ażeby artysta mógł podziwiać w każdej z osobna i wszystkich razem niezmierny smak nauczyciela, co je ułożył do uśmiechu, obrotu każdego, przykłonienia, biegu i nieruchomości, do połączenia się w grupy malownicze i rozsypania na skinienie; tak, by z kolei każda uwydatnić się mogła.

Ruchy ich, pomimo to, zdawały się swobodne, niewymuszone, dobrowolne i chwilami tylko zdradzało wahanie i drzenie myśli co nad niemi czuwała...

Cezar długo oczyma wodził po nich; przebiegając wszystkie z kolei uważnie, ciekawie i mierząc je wejrzeniem znawcy... potem westchnął głęboko, czoło zasepione, usta zamknięte pokryły wrażenie, jakiego doznał. Cajus też pożądliwą ścigał je źrenicą, przyglądając się z namiętnością, która krwią oczy jego zażęgła...

I Hypathos spozierał ukradkiem ku nim, ale smutnie jakoś i łzawo...

Zmuszony czy naiwny uśmiech dziecinnego wesela wyjaśniał wszystkie te twarzyczki biednych niewolnic, którym łzawego oblicza nie godziło się i w męczarniach przed panem okazać.

Pierwsze danie sprzątniono prędko, bo wszyscy głodni byli prócz Cezara, a *antecaenium*³³ mało kto z nich kosztował.

Pocillatorki, roznoszące czasy, przybiegły, ofiarując je biesiadnikom... Sam Tyberyusz, ogłosiwszy się uczytą *modimperatorem*, wyrzekł, że pięćkroć pięć czar magistralnych za zdrowie jego wychylić będą musieli.

Sam też, rozpoczynając od libacyi, wprędce spełnił ametystowy krater, który poszedł z rąk do rąk.

Nikt odmówić go nie śmiał, nawet surowy Nerva, ani filozof Thrasyllus... Cajus ochoczo do ust przyłożył napój i wychylił duszkiem do kropli.

Wino powoli rozjaśniało twarze, Cezar zarumienił się mocno, oko mu błysnęło, rozpoczął igraszki. Odezwały się flety i pieśni greckie za zasłoną, przywołano retorów, gdyż Tyberyusz poczuł ochotę do rozprawy z nimi.

– Zeno, ty co wszystko umiesz – rzekł śmiejąc się – nawet to, czego cię w Atenach nie uczono, powiedz mi, jakim trybem śpiewały Ulissesowi Syreny? Tyś musiał się tego kędyś dobadać!

– Eheu! Cezarze! Syreny musiały najprzedniejszym śpiewać trybem, a jest-że wdzięczniejsza mowa i tryb śpiewu nad Dorycki?

– Pochlebca! – szepnął Priscus do Cajusa – Doryckim mówią na Rhodos, a wyspę tę ukochał Cezar.

Znać zrozumiał cel odpowiedzi Tyberyusz, bo i sam śmiać się począł wesoło, a obróciwszy ku Hypathosowi, jął go namiętnie całować. Dziecię owe śliczne, splamione dotknięciem sprośnego kozła (tak niekiedy od nazwiska Caprei Tyberyusza zwano) zniosło to jak męczeństwo, napróżno usiłując straszliwych pieszczot uniknąć.

Potem kazano tańczyć dziewczętom, śpiewać Grekom i Cezar wreszcie zażądał od starego garbatego retora, aby mu sposobem Doryckim zaskakał... Musiał biedak posłuchać, gdy tymczasem tanecznice, za danym znakiem, szarpały go i podrzucając nim jak piłką, podawały sobie nieszczęśliwą igraszkę.

³³ *antecaenium* – rodzaj śniadania, przekąski przed wieczerzą. [przypis autorski]

Wtém, gdy się tak zabawiają wesoło, a Aster, trzymając się za boki, śmieje z Greka, niepomny, że jutro to samo spotkać go może – oko Tyberyusza padło na posłanie, i rozek kartki pargaminowej, wystający z pod poduszek, uderzył czujnego a niespokojnego władzcę... Drżącą ręką pochwycił go, wysunął... była to zapisana karta... goście pobledli wszyscy...

Skąd tam na *triclinium* dlań zgotowaniem mógł się znaleźć ten zwitek? – kto go rzucił? co on zawierał? – nikt odgadnąć nie umiał... truchleli jednak wszyscy na widok tajemniczego pisma...

Tyberyusz przeczytawszy rozśmiał się dziko, a kartę schował starannie; potem chwyciwszy dłonią czaszę podaną, spełnił ją duszkiem ochoczo, poglądając po twarzach przytomnych, którzy w niepewności nie wiedzieli jaki nadać wyraz licu.

Zwitek ten, podrzucony tak zręcznie przez zuchwałego jakiegoś dworaka, był jednym z najkrwawszych epigramatów przeciwko Cezarowi, i zawierał dwuwiersz ten sławny:

*Fastidit vinum, quia jam sitit iste cruorem
Tam bibit hunc avide, quam bibit ante merum.*³⁴

Brzydzi się winem, bo krwi teraz żąda...
I pije ją tak chciwie, jak wprzódy pił wino...

– Nie prawdaż Aster? tybyś był ciekaw... – rzekł po chwili Tyberyusz – wiedzieć com to za śliczny wiersz odkrył pod moją poduszką... Szkoda że anonim, nagrodziłbym autora...

– Ja? na Herkulesa... nie, Cezarze boski... nigdy nie byłem ciekawym, a wiersz dla mnie rzecz obojętna, choćby był Homerowy – wolę rybę...

– Ryba też zdrowsza – szepnął Tyberyusz. – Lecz Priscus, którego pieczy powierzono tu wszystko – dodał zwracając się do niego – radby może się dowiedzieć czém mnie przywitano? On przynajmniej znać to powinien.

– Cezarze! klnę się na święte imie twoje i Augusta... nic nie wiem i jestem niewinny.

– A jednak poetęby tego poznać warto! – szeptał Tyberyusz – nie dopuściłbym ażeby zginął tak marnie jak ten głupi Luterius Priscus, który doprawdy nie miał się czego zabijać! Przeczytajcie, dystych niepośledni!

I rzucił na stół kartę poglądając znowu po twarzach; ale nikt tknąć jęj nie śmiał prócz Cajusa... Ten wlepił w nią oczy, przeczytał ciekawie, wstrząsł się z wyrazem oburzenia i plasnął w dłonie.

– O straszna zbrodnia! zemsty Furyj godna! oczom nie wierzę! – zawołał.

– Tak Rzym płaci Cezarom za ofiarę ich życia i trudy – odparł chłodno Tyberyusz. – Ale wiersz nie tak zły, chociaż zarzuciłbym mu to: *quia jam* nie eufoniczne wcale!

Jako artysta i poeta, Tyberyusz nawet gniewem wrąc dopatrzył w wierszu wadę i z zimną o niej krwią mówił;

– Jużciż – dorzucił – wolę ten inny:

*Asper est immitis...*³⁵

Znacie go zapewne? – spytał wiodąc po twarzach wzrokiem... – Ah! Ah! co poetów w Rzymie... mnie nie licząc! – I rozśmiał się dziko.

³⁴ *Fastidit vinum, quia jam sitit iste cruorem...* – cytat z III księgi *Żywotów Cezarów* Swetoniusza, poświęconej Tyberiuszowi: *Żywot Tyberiusza* 59. [przypis edytorski]

³⁵ *Asper est immitis...* – Swetoniusz [urywek ten pochodzi z tego samego miejsca *Żywotu Tyberiusza*, co poprzedni, i stanowią części jednej całości, więc faktycznie Tyberiusz Kraszewskiego nie przywołuje innego wiersza, lecz inny fragment tego samego; początek jednak tego wiersza brzmi: „*Asper immitis...*”]. [przypis autorski]

Ta komedia, odegrana zręcznie, wyczerpała w końcu siły, ruszył się nagle odpychając Hypathosa, ruchem gwałtownym zrywając z siedzenia... Ręka jego znak dała tylko, a biesiadnicy rozproszyli się wszyscy, prócz Cajusa, który zrozumiał, że mu kazano pozostać.

– Podli! – rzekł po cichu Tyberyusz – milczą! Gniotę ich, zabijam, męczę, szydę i nikt nie śmie wydać jęku, wyrzec słowa, a podzucają mi karty w nocy i czyhają z nożami... Nie! to już nie są Rzymianie, Cajusie! nie! dla nich potrzeba jarzma niewoli i kar jeszcze straszniejszych! Głupcy! jakby mi ich słowa bolały?...

Priscus i ty, dójść powinniście, kto tę ramotę podzucił... I tu więc nawet, w Caprei mojej knują zdradę przeciwko ojcu ojczyzny... tu, gdzie tylko dopuścił wybranych. To jakiś Sejanowy gaszek... chciał mnie przebić tą iglicą! Ale mu się nie udało... *quia jam...* nieszczęśliwe!!

XI

Nazajutrz rano, za ledwie przebudzonemu Cezarowi dano znać, że strażnik z wieży postrzegł na morzu od Ostii okręt zbliżający się śpiesznie, całymi wiosłami i rozpiętego żagla siłami, ku brzegom Caprei. Nie wątpiono, że z Rzymu przynosi wieści, a Cezar natychmiast, skoro przybędzie, rozkazał ku sobie prowadzić posłańca.

Słońce było w połowie swojego biegu, gdy niecierpliwie oczekiwana łódź przybiła i do Jowiszowej willi w skok pobiegł, przysłany od senatu Gracinus Lacon, dowódzca straży miejskich, którego Macron, sam oddalić się nie mogąc, wyprawił z wieścią do pana.

Do ciemnej i umyślnie od światła osłoniętej izdebki, w której na łożu purpurą wysłanem, spoczywał Cezar, przywieziono posła... Przyklął, by ucałować rękę pańską... Mimo niecierpliwości, Cezar nie spytał o nic i sam nie począł rozmowy.

– Senat cię wita, Cezarze, jako ojca ojczyzny... – rzekł po chwili Lacon, któremu przyspieszony chód oddech tamował. – Sejana głowę ci przynoszę...

– Biedny Aelius! – odparł, nie okazując po sobie uczucia, starzec. – Jakże się to stało?

– Macron przybył do Rzymu nocą – mówił Lacon – nikomu rozkazów twych nie opowiadając, prócz mnie i Memmiosa Regula... Piętnastego dnia Kalend Novembra zwołał senat do świątyni Apollina; Sejan przybył z pretoryanami i ujrzawszy posła twojego Cezarze, zdziwiony spytał, czyliby mu listów nie przyniósł? Na to przebiegły Macron, z uszanowaniem go powitawszy, na ucho mu szepnął, żeś ty, Cezarze, polecił zrobić go uczestnikiem twój władzy trybuńskiej, że listy ma na to do konsula i senatorów. Wszedł więc bezpiecznie zbrodzień i na twarzy jego widać było uśmiech zwycięstwa...

Macron tymczasem obrócił się naprzód do pretoryanów i dar im swój po tysiąc denarów na głowę ofiarował, oznajmując, że jest ich dowódcą mianowany, po czym do Curyi wpadłszy, oddał listy i pretoryan do obozu zaprowadził. Jam naówczas, po ich odejściu, straż miejskie wkoło świątyni Apollina ustawił...

– I dobrześ uczynił! – rzekł Cezar chłodno – zasłużyłeś się Rzymowi.

– Sami już bogowie byli z tobą, Cezarze, przeciwko temu nikczemnikowi; widziano w tej chwili jasne płomień, chwilę na niebie błyszczące i zagaste nagle jak jego życie... Już mu władzy trybuna wieszowano, gdy Memmius Regulus listy twoje otworzył, Cezarze...

– Chciałem w nich jeden wyraz poprawić, gdyż nie tak go postawiłem, jak stać był powinien, ale Macron odjechał pośpiesznie – rzekł zimno Tyberyusz...

– Stopniami, gdy czytał Regulus – ciągnął dalej Lacon – rozjaśniały się twarze; potrzeba było widzieć jak pałały wdzięcznością ku tobie, gdy wyczytano wyrazy, potępiające przyjaciół Sejana, a nareszcie jego samego... gdy Rzym dowiedział się, że mu swe boskie obiecujesz ukazać oblicze...

Sejan zadrzał i blednął... odstąpili go wszyscy, cofnęli się, wyrzekli; został sam jeden, odgrodzony nagle od tłumu twoim wyrokiem. Potrzykroć zawołał nań konsul: – Zbliź się Sejanie – a uszy jego, odwykłe od rozkazów, nie pojęły i nie usłuchały... ażem ja go pochwylił za barki i moim oddałem żołnierzom.

Wnet Regulus kazał mu włożyć kajdany i zawlec do Mamertyńskiego więzienia. Aleśmy ledwie z nim wyszli w ulice, gdy lud radośnie zburzony zabiegł nam drogi, błogosławiąc ci, Cezarze, plwając i znęcając się nad nędznikiem.

– Lud! – uśmiechnął się Tyberyusz – lud plwa na każdego kogo w więzach widzi – mów dalej!

– Zerwano mu z głowy zasłonę, którą się okrył ze wstydu, – na Forum wała się jego posągi, włoką je powrozami do Gemonii, w Tybr rzucają oplugawione... Tak, ledwieśmy go przez zburzone tłumy żywego dociągnęli do więzienia.

– Biedny Aelius! – mruknął starzec – lecz po cóż mu się zachciało udawać Cezara?

– Senat zgromadził się zaraz w świątyni Zgody i osądził go śmierci godnym, poleciwszy spełnić wyrok bez odwołki.

– Dałemże ja wyrok śmierci? – spytał Tyberyusz.

– Senat sam zażądał nań téj kary.

– Skłaniam głowę przed sądem jego... musi być sprawiedliwy! Opowiedz jak umarł?

– Plugawie! prosząc o życie... ciało powleczono do Gemonii, aby bogów przebłagać. Senat wierny, chciał ci okazać, jak się brzydził niewdzięcznikiem.

– A wotował dlań posągi? – rzekł Tyberyusz.

– Twój woli, Cezarze, nie jemu – odparł Lacon – *Senatus-consultem* zabroniono płakać po Sejanie, kazano imie jego zetrzeć z pomników, postanowiono posąg Swobody wznieść w Forum.

– A strażę pretoriańską? – spytał pan.

– Była chwila zaburzenia, bolało ich to, że więcej moim miejskim niż im ufano; rzucili się na miasto, aleśmy ich z Macronem ułagodźli i przywiedli do porządku. Poprzedzam Regulusa, który niesie od Senatu, z patrycyuszami, rycerstwem i ludem, powinszowania i dzięki.

– Powiesz mu niech do Rzymu powraca – zawołał Tyberyusz żywo – nie mogę ich przyjąć... Złamany chorobą, niedołęztwem starości, smutkiem, troską codzienną o Rzeczpospolitą, potrzebuję spoczynku... teraz nie pojedę do Rzymu; przybędę później. Powiedz im, że czci nowój, imienia ojca ojczyzny, nie przyjmę, że chcę nareszcie spokoju tylko i mam go prawo pożądać.

– Ale Rzym domaga się widzieć oblicze twoje, Cezarze...

– Później – rzekł starzec cicho – złożmy dziś tutaj ofiarę Fortunie zwyciężki Cezara.

To mówiąc wstał z łoża.

– A dla was? – dodał ciekawie – nicze nie uczynił senat? – I spojrzął na Lacona badając.

– Macronowi i mnie chciano dać godność pretorów, Macron i ja odmówiliśmy jój oba...

– Szkoda – zaśmiał się Cezar – choć kończy się na wschodach Gemonij, władza nie mniej przeto smaczna!

– Jakież twe rozkazy?

– Powiesz im, że chory, że nie przyjmę nikogo, nikogo widzieć nie chcę, że teraz nie mogę przybyć do Rzymu, a los rodziny Sejana w ręce senatu oddaję... Chcę spoczynku, wytchnienia, bom stary już i wycieńczony.

– Senat prosi twych rozkazów!

– Niech czyni co chce... Na bogi wielkie! jam już starzec bezsilny, słabemuż to cieniowi człowieka rozkazywać im i uczyć co czynić mają? Wracaj do Rzymu, powiedz, żeś słyszał milczenie moje, przerwane błaganiami o spoczynek... nic więcej...

Chwilę jeszcze stał we drzwiach Lacon, ale zachmurzone oblicze pana i spuszczone uparcie oczy, zmusiły go odejść nareszcie. Pożegnał Cezara nie odzywającego się więcej, podniósł zasłonę i wysunął się po cichu.

O kilkadziesiąt kroków w portyku, już nań Nerwa, Priscus, Atticus, Aster i Cajus Caligula, oczekiwali, niecierpliwi posłyszeć co zaszło w stolicy. Śmierć Sejana już ich była doszła przez ludzi, którzy Lacona przywieźli, i wielką, zwłaszcza w Cajusie, rozbudziła radość; on też pierwszy zbliżył się do dowódcy straży z twarzą wesołą i powitał go, domagając się wieści.

Wkrótce po całej wyspie opowiadano szydersko o zgonie, wczoraj na szczycie władzy stojącego, ulubieńca, i nikt nie zapłakał po upadłym.

XII

Przeistoczona na rodzaj rozkosznego więzienia, Capreä była jedną willą Cezara, cała służąc mu do jego rozkoszy i zabawek okrutnych; wypchnięta z niej ludność grecka i italscy przybysze, (którzy tu dawniej po Teleboach i Oskach zamieszkiwali, zmieszani z niemi jedną stanowiąc całość), kryli się opodal od Cezarowych mieszkań, tuląc do brzegów morza lub w dzikie i nieprzystępne ustronia. Miejsce ich teraz zajmowały stráže wybrane, które pod dowództwem Macrona otaczały Tyberyusza; dziewczęta Priscusa, chłopcy, których coraz nowe przywożono zasiłki do tajemniczych zakątów rozpusty, niewolników i sług pańskich ciżba.

Codzień niemal nowe dla zużytego i bezsilnego starca wymyślano rozrywki, mieniając miejsca, ludzi, przedmioty, aby dziwaczne obudzić i nasycić zachcenia, aby dobyć zeń iskrę gasnącego życia. Często Priscus rozpaczał, iż już nic dlań wymyśleć nie umiał i w naturze nie znajdował nowego. Porywano z łona rodzin upatrzone dziewczęta i chłopców, a nawet dzieci maluczkie na sprośne zabawki starca; nie bronił ich ród, pochodzenie, wiek, ani płacz matek, ani rozpacz mężów, ani zaklęcia i prośby. Priscus płądrował bezkarnie po Surretyńskich brzegach, w Campanii i Lucanii...

Przerażona ludność wybrzeżów kryła się przed okiem tych wysłańców, którym się niczém okupić nie było można; a bliżsi i więcej wystawieni na gwałty podobne mieszkańcy Caprei kryli się z czcią i życiem, nocą ledwie ośmielając wydobyć się z kryjówek, by nędzny pokarm zdobyć w morzu lub wygrzebać z ziemi.

Szczęściem, samo położenie wyspy najeżonej stromemi skałami, po których tylko przywykli do nich mieszkańcy i kozy przedzierać się umiały – broniło ich od napaści Tyberyuszowych szpiegów. Mizerne schronienia tych ludzi wieszaly się jak gniazda ptasze na niedostępnych wierzchołkach, u ścian kamiennych, w grotach, których wnijścia osłaniano starannie, – w powietrzu i nad ziemią.

W stronie przeciwnej przylądkowi Minerwy, na drugim wyspy krańcu, zwróconym na morze szerokie ku Posidonium, w najpuściejszym kącie, jeden z wierzchołków rozdwojonych skał olbrzymich, krył właśnie w sobie takie schronienie, na wyspie nawet samej mało komu znajome.

Szczelina, w której zasiadł ten domek kamienny tak była zatajoną przed oczyma ludzkimi, a ścieżka wiodąca do niej tak niebezpieczna i niedostrzeżona, że trafić przypadkiem było tu prawie niepodobna.

Kozy tylko wskakiwały na ten wierzchołek i spuszczały się za najmniejszym szelestem w zieloną dolinkę a raczej krater kamienny, który to gniazdo okrywał.

Tu przyczepiony był do boku skały domek z kamienia, prosty, tuskańskiej budowy, tak okryty liśćmi bluszczu i winną macicą, osłonięty starém ogromném drzewem figowem i kasztanami, że go z bliska nawet dostrzedz było trudno, bo barwą kamienną uwodził. Maleńki taras z brył kamieni dzikich nieco wystawał u wchodu, a osłaniający go murek zakrywał nawet niskie drzwi, któremi się do ciasnego atrium wchodziło. Żadnego zresztą okna na zewnątrz nie miały ściany.

Ścieżka, która prowadziła do tego zakątka, tak kręto biegła po skalistych, nie kutyh, ale przez samą naturę przysposobionych stopniach, tak często przechodziła zarosłe trawą żółtą przestrzenie, że śladu jej nie mógł dopytać nieświadomy tej kryjówki...

Niewielka dolinka, ukryta pomiędzy skałami, obejmowała tylko ogródek zasadzony warzywem, trochę latorośli winnych, kilka drzew oliwnych z porozpękanemi pniami i cysterne wyżłobioną starannie w twardej opoce. Stado kóz na pół dzikich zdawało się tu mieszkać same, a za najmniejszym popłochem, zeskakiwało z wyżyn w tę głębinę i biegło się ukryć w nakrytej kamieniem grocie, będącej zwykłym onego przytułkiem.

Właśnie gdy w południe przywiezione z Rzymu wieści zajmowały Tyberyusza, Hypathos, mając chwilę wolną, wybiegł z willi Jowiszowej, nie spytawszy się nawet o pozwolenie Priscusa. Czy rachował na to, że Cezar nie zażąda go tak rychło i szukać nie każe, czy obojętnym był na skutki swojej wycieczki, dość że przywdziawszy suknie ciemniejsze, *penulę* z kapturkiem i koturny na nogi,

nie wielką kamienną drogą, ale ubocznymi ścieżkami udał się w głąb wyspy. Znały go nadto dobrze straże jako ulubienca Tyberyuszowego, by mu kto z nich śmiał stanąć na drodze; myślano może zresztą, że upatrzone gdzie miłostki ciągną pięknego chłopaka i nikt mu w jego wycieczce nie myślał przeszkadzać... Niewolnicy tylko z uśmiechem spojrzeli, jak pośpiesznie gnał w najodludniejszą część wyspy.

Jakkolwiek chłopię rozpieszczone było i osłabłe miękkim życiem, znać dawniej przywyknąć musiało do spinania się po tych górach, do czepiania po stromych skałach, bo nie szukając dróg wygodnych, zdało się owszem jak najdziksze wybierać.

Dzięki téj zręczności i chyżemu biegowi, Hypathos wkrótce dostał się na przeciwny brzeg wysepki, na którym znajdowała się opisana przez nas kryjówka, i cały zadyszany, przypadł w dolinę, oglądając się, czy kto kroków jego nie śledzi. Ale cisza głęboka panowała dokoła, spłoszył tylko owe kóz stado i dolinę znalazł pustą...

Szelest kroków jego i przedzieranie się przez gałęzie, wkrótce jednak wywołało z wnętrza domku młodego mężczyznę, który ostróżnie z za muru głowę ukazawszy, gdy Hypathosa postrzegł, wychylił się ku niemu cały przez kamienną zagrodę i powitał go radośnie nieznanym tu językiem.

Chłopak poskoczył ku niemu z gorącym uściskiem i łzami na oczach.

Ten, który wyszedł na jego spotkanie, odziany był, jak wszyscy wyspy mieszkańcy, ubogo, jak wieśniacy, w suknię *chlaena* zwaną i sandały; ale twarz jego zdradzała jakieś pochodzenie obce, nie tutejsze... Nie był tak piękny jak Hypathos, daleko odeń starszy, a przecie do niego podobny. Czarny włos takiz, lecz niestarannie utrzymany i pyłem okryty, spadał mu na ramiona, podstrzyżony, by w pracy nie przeszkadzał – oczy miał czarne i ogniste, a gęsta broda ciemna spływała na pierś opaloną. We wzroku jego ten sam był wyraz smutku i ucisku, a zarazem dumy jakiejś wewnętrznej, która na czole chłopięcia jaśniała, gdy go pieszczoty Cezara nie okrywały sromotą.

Padli sobie w objęcia, długo słowa prawie przemówić nie mogąc, a milczący uścisk połączył ich obu, aż Hypathos pierwszy wyrwał się z niego, i siadając na chwiejących stopniach, które do tarassu wiodły, zakrywszy twarz końcem szaty, począł gorzko płakać.

– Cóż ci to dziecię moje, bracie najmilszy? – odezwał się mężczyzna językiem judejskim – zamiast mnie pocieszyć, łzy mi tu przynosisz, gdzie ich już tyle!

– To co zawsze, Judo! – odparł chłopak, tąż samą mową mu odpowiadając – ucisk méj duszy tu mi dopiero wyplakać wolno swobodnie; tam i łzy połykać potrzeba. Tyberyusz śledzi każdy ruch twarzy i drgnienie powieki, a ja jestem jego pastwą! O czemuż nie mam męztwa umrzeć raczej, niżeli żyć tak sromotnie!

– Uspokój się, na wielkiego Boga naszego cię zaklinam! – rzekł Juda przystępując ku niemu – uspokój się Rubenie; przecierpieć potrzeba i wyżyć mimo upokorzenia i boleści. Jest nas dziś tu troje tylko na téj wyspie, bez ciebie mybyśmy zginęli; on umrzeć może lada godzina, lub go ktoś z przybranych zadławi, my będziemy wolni... a okręt jaki zabierze nas do Judei...

– My! mielibyśmy ujrzyć ojczyznę, ja, com jój nie widział nigdy... a! nie, to być nie może – jęknął Ruben – o! lepiej nam było zginąć na morzu, niż takiego doczekać ocalenia!

– Bóg wielki wie co czyni – przerwał Juda – kochanek splugawiony Tyberyusza może być drogim dla biédnych Hebreów. Któż wie, azali Sejan nie wyszedł z nicości? czyż jak ty obcych nie widziano u nich sprawujących urzędy i przyjmujących imiona pogańskie?

– Ale nie z naszego plemienia i rodu im nienawistnego! – zawołał Ruben – to próżna ofiara a nazbyt ciężka i wielka. Chciałem się zabić, gdy mnie wleczono na pastwę temu obrzydłemu starcowi, i lepiejbym był uczynił...

– Nie masz prawa, jak poganie – przerwał Juda – odbierać sobie życia; Bóg ci je wezmie, gdy godzina wybije... cierpieć potrzeba...

– A! i ofiary składać bałwanom!! – jęknął Ruben.

– Zmuszają cię – dodał Juda – ofiarujesz ręką nie duchem.

– Sam sobą się brzydzę – mówił piérwszy – a! pozwól mi płakać! Odkąd nas burza, wleczonych na wygnanie do Turris Libissonis, rzuciła z okrętem ku téj wyspie, odkądśmy tu troje uciekli i schronili się za twoją poradą, Juda, co nieszczęść na nas spadło, a gdzie najmniejsza wyzwolenia nadzieja?

– Chodź, Ruben, chodź, a uspokój się – dodał obejmując go za szyję Juda – siądźmy razem z siostrą twoją i pociesmy się, żeśmy znowu połączeni... Bóg reszty dokona.

Nareszcie wyplakawszy się Ruben-Hypathos, dał się ująć bratu i zrzuciwszy kaptur z głowy, wcisnął się przez ciasne drzwiczki do domku. Chatkę tę opuszczoną, przybywszy na wyspę, znaleźli w ruinie; Juda pracował, aby ją oczyścić i mieszkalną uczynić.

Za drzwiami zaraz było ciasne atrium tuskie, w pośrodku którego małe *impluvium* (sadzawka na wodę deszczową, spływającą z dachu) zarosło zieleń, suchém stało w porze letniej. W głębi dwoje drzwi, matami zakrytych, wiodły do wykutych w skale izdebek przytykających, które całe to schronienie składały. Na szelest kroków podwojony, poznawszy po chodzie i stukaniu sandałów przybysza, ta, którą zwano siostrą, ukazała się z głębi przez drzwiczki maleńkie i uchylwszy zasłonę, krzyknęła radośnie, rzucając się ku Rubenowi...

Była to młodziuchna Rachel, żona Judy, z nim razem pod mężką suknią wywieziona z Rzymu, towarzysza podróży i wygnania. Zaledwie mogła mieć lat szesnaście, ale choć wschodniego rodu, podobniejszą była do pięknej greczynki, niżeli do obu swych braci. Przewodny to był typ młodości, wesela i życia, które jeszcze nie wierzy w żadne zło na świecie; uśmiech miała na ustach, uśmiech w oczach czarnych i na czole promienistą radość dzieciństwa. Maleńkiego wzrostu, wysmukła, zręczna, z lekka tylko ogorzała, choć ubrana ubogo, z zalotnością kobiety i wychowanki Rzymu (gdyż tam się urodziła i wzrosła), przystrojona w lada kawał tkaniny, starczącej jęj za najpiękniejsze ubiory, przypominała owe leśne zjawiska, o których śpiewają greccy poeci. Mimo zwyczaju Żydów, choć zamężna, aby nie odkryć pochodzenia swojego, włos pozostawiła niestrzyżony, pokryty lekką zasłoną; miała tylko lnianą chlamydę z podpinką, która zaledwie zaokrąglającą się pierś podtrzymywała, i płaszcz z grubej tkani, niedbale na ramiona rzucony.

Ukochana przez Judę, który sam za nich oboje pracował, siedziała całe dni w swjéj izdebce zamknięta, nie wychodziła na świat, bojąc się nawet zanócić głośniej, aby jęj pieśń nie zdradziła... Przecież w tém osamotnieniu i niewoli życie jęj się śmiało i mieniła się szczęśliwą. A gdy kozy z paszy powracały i wolno jęj było wynijść, by je wydoić i pobawić się z niemi, leciała swawolnica, że ją nieraz ledwie mógł Juda wstrzymać, by się za rozbiegającą trzodą na skały nie wdrapała.

Mimo tego odosobnienia i zerwania z ludźmi, wygnania i nędzy, w jakiej żyła hebrejska rodzina, Rachel miała wielką siłę ducha, i mężstwo jęj nieraz wsparło złamanego Judę, który płakał, samotnością stęskniony.

Ruben przywitał ją, zarumieniony cały, z uczuciem, może jeszcze łzami niedawnymi powiększonym; potem siedli wszyscy troje na ławie, pod prostym daszkiem domostwa...

– Nie pytaj o nas – zaczęła Rachel – powiedz co u was się dzieje? jest-li tam nadzieja jaka?

– Ha! w Bogu! – rzekł Juda – więcej żadnej.

– Jakto? nie może tu przypląć okręt żaden, przybić łódź żadna do Egiptu płynąca, któraby nas z sobą zabrała i wywiozła?

– Nas?? ptak z wyspy nie wyleci bez wiadomości pana; na sto mil w koło patrzą z wieży i każdy żagiel postrzegą; a któżby śmiał bez wiedzy jego dotknąć brzegu Caprei? Gdzie tu przybić, kiedy maleńkie tylko nawy w dwóch miejscach do lądu przytykać mogą?

– A tenże syn Beliala wiecznie żyć ma? Czyż Sejan go nie zmoże?

– Sejan nie żyje! – odparł Ruben.

– Jakto? umarł?

– Zabity... z jego rozkazu!

– Ten, którego on tulił do swego łona, który mu życie w Spelunce ocalił, który wytruł w koło co tylko mu stało na drodze!!

– Wywleczono go przez wschody Gemonii i zwanego błotem w Tybr rzucono...
– I jego więc się pozbył! – westchnął Juda.
– Pożerają jedni drugich jak dzikie zwierzęta.
– Wielki Bóg nasz – rzekł starszy – ja wierzę, iż dzień wyzwolenia nie daleki.
– Ale nie dla nas! – cicho odezwał się Ruben – gdy mnie przynajmniej jak wam, życie w cichym płynęło kątku, razem tutaj, za opuszczoną ojczyzną i braćmi możebym krwawymi nie płakał łzami; ale mnie zmuszają patrzeć na pogańskie swe obrzędy, dzielić ich rozpustę i śmiać się i upajać... gdy...

Niedokończył, Rachel zakryła oczy.

– Wszystkim nam tu nie tak jak w ziemi kochanej, której nasze nie widziały oczy, gdzie leżą popioły ojców i święta wznosi się Hieruzalem... Myśmy tu samotni, bez kapłana, bez świątyni, bez ofiary, bez ksiąg naszych i naszych braci, sami sobie oddani... a słabych nie ma komu podeprzeć.

– Was dwoje, wyście razem, i obcy oddech was nie kala.

– Ale co pomoże płacz i tęsknota?... zaprawdę – rzekł Juda – rzeczy to nie mężkie; potrzeba umieć cierpieć, lub myśleć jak się wyzwolić? Tyś ulubieńcem Cezara, tobie się łatwo wykupić z niewoli... za tobą i my pójdziemy...

W chwili gdy rozmawiali, na górach ponad ich głowami ozwały się głosy wołających po imieniu Hypathosa, i wszyscy truchlejąc umilkli. Byli aż nadto pewni, że ich tu nikt nie wysłodzi, przecież rozlegające się wśród skał wołania nappełniło ich jakąś trwogą: Rachel przytuliła się do Judy, Ruben porwał na nogi.

Uważano od dawna smutek na twarzy ulubionego Cezarowi chłopięcia: Priscus obawiał się samobójstwa, które naówczas w młodzieńczych nawet latach się zdarzało, rozesłano więc szukać zbiegłego...

Twarze poblady w miarę jak głosy zbliżać się zdawały. Hypathos słuchał i ozwał się wreszcie z rozpaczą:

– Idź niewolniku! i dźwigaj kajdany swoje!

– Jakto? uciekasz już? – spytała Rachel – a jam dla ciebie jakby przecuciem schowała grono winne, które na skale dojrzało! i kosz fig i owoców... Chciałam cię przyjąć ucztą na jaką nas stało...

– A! nie mnie to zasiąść z wami spokojnie, ani pożywać chleba w weselu ducha; ja z pogany biesiaduję na złocie i patrzę na ich plugawe obżarstwo... oto uczyty moje...

Głosy z góry odzywały się jeszcze, ale już nikły w dali uchodząc, gdy Ruben uściśnął Judę i wyrwał się oglądając na Rachele, która stała zdala z oczyma łzawymi, biegiem chyżym spiesząc wydobyć się z tego ustronia, którego zdradzić nie chciał i bacznie oglądając by tak się z niego wymknąć, ażeby go wysłani nie postrzegli niewolnicy.

Jeszcze Juda i Rachel stali trwożnie poglądając za nim, gdy kapturek jego penuli ukazał im się na wierzchu skał otaczających i zniknął...

Chłopak szybko zbiegł po skałach na dół, nad samo morze ciemne, wyprzedził posłańców, którzy go po całej wyspie szukali i położył się na kamienistym skraju doliny od Posidonium, udając że pochwycony snem, spoczynku tam szukał i chłodu.

Nieprędko później jeden z niewolników przez Priscusa wysłanych, ujrzawszy ciemny płaszcz jego na ziemi, przyszedł potrącając go z gniewem i przeklinając grubijańsko... przebudzić ze snu. Był to Iberijski jeniec, któremu dokuczycie szukanie zbiega, mszczący się na nim trującego po górach biegania.

– Hypathos! – zawołał – czyli ci tu mięciiej i lepiiej niż na twém posłaniu, żeś zabiegł tak daleko... aby gniew Priscusa obudzić!

– Ani mięciiej, ani lepiiej – odparł udając przebudzonego chłopak – ale mi tu swobodniiej, alem tu sam, a ty coś był kiedyś wolnym w swych górach, możeż się temu dziwować?

– Patrz, na Marsa! – odparł Iberyjczyk – i to dziecię rozpieszczone woli kamienie nad brzegiem morza, nad puchy i przymuszone pieszczoty! Ale chodź! niewolnik niewolnikiem, a wybierać mu

się nie godzi do smaku! Cezar zażądał wielkiej uczyty... Priscus cię wołał!... słońce ma się ku zachodowi!!!

XIII

Jedna z willi, rozsianych po wyspie, znajdowała się na wzgórzu od strony Neapolis, dość od Jowiszowej odległa, przedzielona od niej głęboką doliną – zwała się willą Plutona, od podziemnych pieczar, w których część większa należących do niej budowli się kryła. Jedna tylko galerya z widokiem na morze, umieszczona na szczycie, zdradzała, że w łonie téj skały splekanéj kryje się gmach tajemniczy.

Cezar rzadko tu w dnie skwarne przebywał szukając chłodu – choć jesienny, dzień ten był gorący i Priscus dla odmiany wybrał groty Plutona na ucztę wieczorną.

Tyberusz od rana siedział niewidzialny, zamknięty, nawet Cajusa nie przypuszczając do siebie; nikt nie mógł odgadnąć co się działo w jego duszy, wszyscy tylko domyślali się jéj niepokoju.

Przed zejściem słońca, ocienionymi ścieżkami, niewolnicy na silnych barkach przenieśli milczącego Tyberusza do Plutonowéj willi.

Wnijście do niej od górnego perystylu i galeryi wiodło wschodami szerokimi, jakby w głąb ciemnej otchłani; wszystko tu kryło się we wnętrzu skały rozszarpanéj, ale wykute w niej przysionki, sale i przejścia tak były rozległe i ozdobne, że się w nich zapominało jak leżały głęboko pod ziemią, jakiej pracy kosztem zdobyto te czarne przepaście... Niezmierne izby sklepione, całe wytwornymi malowaniami i mozajką okryte, następowały po sobie szeregiem, to na słupach wsparte, to mury ciężkimi wspierane; posadzki ich, powoli się osuwając, wiodły nieznacznie coraz ciasniejszemi chodnikami do wschodów, które się spuszczały w głąb nadmorskiej groty, przez samą naturę pracą lat tysięcznych wyżłobiono cierpliwie.

U wnijścia do niej, na kamiennych ławach, rzuconych w morze i obwiedzionych marmurowemi balasy, umieszczone były *triclina*, do których stóp prawie błyszczące podpływały fale.

Po nad pieczarą strop, nieregularnymi poszarpany kawały, wisiał, sklepiąc się w kształtach dziwacznym.

Światło dzienne nie przeciskało się, tylko jednym szczupłym otworem u dołu i łamiąc w lazurowych wodach, przychodziło tu żywym szafirem zafarbowane, barwą tą oblewając skał złomy i ściany i strop i całą ową salę biesiadną. Wody i kamienie i wszystko co otaczało ją, wydawało się tak niebieskiem, jakby niebo roztopiło się na tę kąpiel Sardanapalową...

W głębi pieczary wprawdzie paliły się lampy nad stołami, ale światło dnia żywe jeszcze i gorące, wdzierając się przez otwór od morza, szafirowemi blaski swemi gasiło mdłe ludzkie światełka...

W wód tych wstędze jasnej, jakby z rozpuszczonych turkusów i szafirów zlanych... Priscus artysta wystawił z żywych postaci scenę niezmiernego wdzięku...

Przodem płynęli ludzie, misternie za Delfinów przyodziani, okryci łuską, błyszczącą lazurem i złotem, wyrzucając wody do góry przez nozdrza rozdęte... Za nimi szły Trytony, z głowami zieleń morską oplecionymi, przygrywając na wielkich krzywych konchach... W pośrodku na wozie jechała prześliczna Amfitryte, a wóz ten, na kształt ogromnej konchy, cały sadzony macicą perłową, posuwał się nie zanurzając po wód powierzchni, podtrzymywany przez otaczający orszak bogini...

Wprężone w tę *Thensę* (wóz zwycięzki) konie białe, których nogi zakończone były płetwami rybiemi, tak doskonale bajeczne owe naśladowały istoty, że wziąć je było można za urodzone z morza potwory...

W koło, z dziewcząt najpiękniejszych i chłopiąt niedorosłych, Priscus utworzył orszak Amfitryty, przystroiwszy go kwiatami i powiewnemi zasłony... Ciała ich na pół w falach srebrzystych, pół w powietrzu, okryte pianą i szklannemi tryskami, w powolnych ukazywały się ruchach...

Znać było, że z Ovidiuszowej księgi utworzył ten pochód Nereid Priscus, ale żywe postacie wdzięczniejsze były nad marzenie poety, a wewnątrz groty tło im dawało, jakiego śpiewak nie widział nawet we śnie... Grupa ta przepływała niewielką przestrzeń morza, zawartą ścianami pieczary i jak sen, to nikła w cieniach, to się zjawiała jasną i świetną...

Śpiew Nereid i Trytonów, plusk fali cichy, niebieskie oświecenie podziemia, wszystko to czarujący stanowiło obraz, dodając uroku biesiadzie, która uśmiech przecie wywołała na zwiędłe starca usta.

Widok był wielki, wspaniały, tajemniczy i mógł Cezarowi na chwilę dać złudzenie boskiej władzy, co go takimi otaczała cudami... Inny w istocie świat jakiś miał przed oczyma... te Nimfy wodne, Syreny i Nereidy z liśćmi uwieńczonymi głowy i porozpuszczanym włosom, ci chłopcy z konchami morskimi w dłoniach, ta swawola na tle szafirów, w niezwykłych barwach przedstawiająca się oku, wreszcie nad głową jeżące się skały dzikie, czarne, odbłaskiem lazurowym jaśniejące... czyniły wrażenie potężne, jakby świata duchów, piekieł i Bogów...

Cezar popatrzał, uśmiechnął się i pozostał obojętnym.

– Priscus doprawdy wspaniale ugascza Cezara – rzekł krzywiąc pogardliwie usta... ale mi tu brak czegoś jeszcze...

Niespokojny sługa szukał oczyma, coby dodać jeszcze można, gdy Cezar dokończył:

– Poety, któryby śpiewał te cuda... jak wczoraj...

Nikt się ust nie odważył otworzyć, tylko Cajus, który we wszystkim chciał naśladować Cezara i na jego wzór twarz i słowa urabiał, uśmiechnął się jak on szydersko.

Przy panu siedzieli dziś, położyć się nie śmiejąc, Vescularius i Marinus, dwaj starzy dworacy, którzy tylko co z Rzymu wrócili; starcy jak on, towarzysze jego z Asterem na Rhodyjskim wygnaniu, dziś dobrowolnie zamknięci z nim w Caprei.

Były to dwa wzory upodlenia i dworactwa, dla których już nic nie pozostawało, by osiągnąć ostatecznej granicy bezczęści i bezwstydu. Oba, choć rzymscy patrycyusze, byli tylko pierwszymi niewolnikami Cezara i nigdy najdzikszy objaw jego woli nie znalazł w nich oporu. Vescularius służył mu świeżo przeciwko Libonowi, Marinus z Sejanem nastawał na Attica. To poddaństwo ślepe jednakże, którego wymagał Tyberysz, nie zjednało im u niego ni łask większych, ni zaufania; używał ich jak narzędzi, gardził jak istotami splugawionymi. Dzisiejszy wybór i powołanie do dzielenia łoża z Cezarem, który szczególnie dla nich dobrotliwym i uśmiechającym się okazywał, na obu twarzach malowały się bladeścią i przestraczem. Wiedzieli oni, że serdeczne objawy miłości i zaufania zawsze prawie u Tyberysza kryły rodzącą się nienawiść i gniew stłumiony, szukali więc oba w myśli, czém mu się narazić mogli i niespokojne ich twarze wyrażały trwogę niezmierną, którą pokryć usiłowali, aby się jój Cezar nie mógł domyśleć, gdyż odgadnąć go, było to zemstę przyśpieszyć.

Bardzo tak często ostateczną zgubę ludzi zbliżonych do Tyberysza poprzedzały zwiastujące ją najwyższe honory i łaski. Tak uczynił z Sejanem. Usypiał niemi, uwodził, uspokajał; ale ten środek już był zestarzał i użyty kilkakroć; obudzał bojaźń i niewiarę.

Vescularius drżał cały i z naleganiem podawane sobie potrawy brał dłonią nieśmiałą, tak że niemi plamił się cały; Marinus, blade i pomieszany, zdało się, że co chwila utraci przytomność; Tyberysz śledził ich oczyma, bawił się tém i uśmiechał. Znać wczorajszy dwuwiersz, niespodzianie znaleziony, na któregoś z nich podejrzenie zwrócił.

– Nicże nie krąży po Rzymie, o tym biednym Sejanie? – spytał Vesculariusa, który bełkotał sam nie wiedząc co mówić.

– Pamięć jego z życiem zgasła! – odparł zagadniony.

– Choć wybyście go żałować powinni! – dodał zwracając się do Marinusa.

– Ja Cezarze! ja! na Bogi... dla czegożbym... drżąc i jękając się przemówił stary.

– Był to przecie twój sprzymierzeniec przeciwko Attyka, i razemeście pracowali...

– Ale wola twoja była tam z nami trzecią... jój, nie Sejanowi, byłem posłuszny...

– Wola moja! – zawołał Cezar ruszając ramionami – mylisz się... Stary, niedołączny, mamże ja wolę i władzę jaką? Cóż ja znacę! panuję, jak mówią, w Caprei tylko... Senat rządzi i czyni co chce...

A! ciężko mi już podołać brzemieniu, które dźwigam na ramionach!

To mówiąc, wypróżnioną czasę podał Pocillatorowi, który się zbliżył, nalaną wychylił szybko i chmurnym okiem powiódłszy dał znak skończenia uczty, szepcząc coś na ucho Priscusowi, który przodem już sługi odprawiał...

Pływająca Amfitryte, Nimfy i Trytony, jakby za dotknięciem czarodziejskiej laski, ukryły się natychmiast w jaskini na prawo zagłębionej, a biesiadnicy, poglądając po sobie niespokojni, udali się za panem, którego znowu niesiono w górę tąż samą drogą, którą przybył na ucztę.

Dzień tymczasem się kończył i jasny wieczór, cały w gwiazdach, rozwiesił swe szaty szafirowe nad ziemią; gdy przy blasku niesionych lamp i pochodni wyszli na górną galeryę z podziemi willi Plutonowych, noc czarowna, cicha, woniejąca, obejmowała uśpioną Capreę. Na rękach niewolników młodych dźwigany Tyberyusz, ze spuszczoną głową, milczący, dawał się nieść nie okazując najmniejszego znaku rozweselenia po biesiadzie; obok siebie kazał iść ulubionemu Hypathosowi i rękę wychudzoną zwiesiwszy na białą szyję chłopięcia, igrał roztargniony z miękkimi pierścieniami włosów jego.

Vescularius i Marinus z tyłu się wlokąc za Cajusem, który na nich szydersko poglądał, odosobnieni od tłumu już stroniącego od nich, sami też od siebie się odsuwali, posadzając wzajem jeden drugiego o całą winę, która obu niebezpieczeństwem groziła. Nie mogli się skarżyć, bo Cezar jak nigdy na nich był łaskaw, a czuli jednak, że to przymilenie było groźbą. Osamotnienie w jakim się znaleźli, najlepiej tego dowodziło.

Droga, którą z wierzchołka góry Plutonowej schodzili, wiodła do gaju Wenery; podnosiła się ona kilkakroć drapiąc po grzbietach skał, to znów spadała w doliny, przebywając kute w kamieniu wąwozy i mosty rzucone nad przepaściami, nim wreszcie ukazał się jak wczora lasek ów gęsty, cały oświecony już i ogniami płonący.

Miły po biesiedzie chłód dawał się czuć w dolinie zamkniętej, która nawet po obrazie groty lazuruwej wydała się piękną, w innym choć nie mniej czarującym rodzaju.

W pośrodku lasu, na zielonej darni, biały marmurowy wodotrysk wystawiał lubieżnie uściśniętą z łabędziem Ledę, całą oblaną wodami, w których ptak płynąć się zdawał... Szeroka sadzawka otaczała to arcydzieło greckiej sztuki, przy świetle lamp wydające się jakby żywą postacią.

Na około wśród litostratowych ścieżek, w cieniu pomarańczowego lasu, pełno było, to złudzenie zwiększających, posągów... ale nie z marmuru kutyh – zastąpionych ludźmi żywymi. Dziewczęta, chłopcy, mężczyźni, których Priscus dobierał i ustawiał, przedstawiały sceny i grupy z Owidyuszowych przemian i poematów miłosnych.

Jedne z nich przedstawiały Nimfy, inni Satyrów i Faunów, Apolla, Muzy, Gracye, a wszyscy stali jakby skamienieli chwilę, potem grali swe role uganiając za sobą, walcząc, obejmując z wyuczonym wdziękiem i namiętnością kłamaną...

Wśród cieniów nocy, białe te zjawiska, ledwie lekkimi osłonięte szatami lub całkiem nagie, naśladowały znane rzeźby greckiego dłuta i posągi mistrzów, ulubione Rzymianom. Wszystkich tu Priscus ustawił dla zabawienia Cezara, ze staraniem największym, a rzeźbiarz z trudnością by mógł piękniejsze kształty wymarzyć nad te, które jak cienie snuły się po gaju Wenery...

Uśmiechały się usta ich nieme, błyskały oczy, wdzięcznie zginały ręce drżące, a gdy Cezar, wniesiony w ten świat czarów, jakby na Elizejskie Pola, wśród przelatujących szczęśliwych cieniów umarłych, zatrzymał się u wodotrysku, z kądem widok na dolinę był zewsząd otwarty, znowu na dany znak stężało wszystko, skamieniało i życie uciekło z tych przed chwilą ruchomych posągów... Tyberyusz ruszył się i wszystko ożyło, rozpoczęły się milczące gonitwy i igraszki po lesie...

Piękność tej sceny zwiększała jeszcze towarzyszące jej milczenie głębokie, dziwne, niepokojące, straszne – ruchy ledwie się zdradzały szelestem gałęzi, zdeptaną pod nogami trawą,

szmerem jakimś niepochwyconym, a bacchantek usta otwarte do śpiewu, a krzyczące wargi wyrrywających się nimf – nie wydawały głosu.

– Zaprawdę – rzekł Tyberyusz – Priscus, powtarzam wam, jest wielkim artystą.

– Wielkim mistrzem Priscus! – wtórował Cajus po cichu, choć z zazdrośnym jakimś uczuciem...

Cezar wstał z siedzenia, na którym go niesiono i skinął, by odprawiono niewolników, powoli puszczając się między drzewa... Nikt nie śmiał pójść za nim.

Priscus pogłaskany pochwałą, cieszył się, spodziewając, że lubieżny ów obraz gaju Venery ożywi Tyberyusza, młodsze mu przypominając lata; ale widać było po chodzie powolnym, po roztargnionym wejrzeniu, że uroczy ten dramat ożywionych posągów nie czynił na nim najmniejszego wrażenia. Oczy zbladłe skierował czasem ku grupie, którą spotkał nad drogą, na widok jego stojącej się marmurem bezwładnym, to znowu opuszczał wzrok ku ziemi; widocznie czuł się chorym, złamanym, ale bólu okazać ani słabości odkryć nie chciał... tajemnicą i udaniem całe swe czyniąc życie.

Nie wierzył w lekarzy, jak nieufał ludziom i nigdy nie uciekał się do nich, w obawie trucizny i zdrady, a ilekroć bolał jak teraz, czekał, by natura sama przełamała chorobę... Po wzroku obłąkanym, po spalonych ustach, po gorejących policzkach, poznać było łatwo, że cierpiał, ale się nie przyznawał do cierpienia; oko dworzan dostrzegło tylko zmianę i wszyscy przejęci byli bojaźnią, bo Cezar chory straszniejszym był jeszcze od zdrowego Cezara.

Oddaliwszy się od towarzyszków, Tyberyusz jęknął z cicha i to mu ulgę sprawiło, ale obejrzał się żywo, czy go kto nie podsłuchuje i trzęsącą dłoń do spotniałego przyłożył czoła.

Nawyknienie udawania uśmiech zaraz wywołało na usta.

W miarę jak się coraz dalej posuwał w głąb pomarańczowego i cytrynowego gaju, grupy Nimf i Faunów, igrające przy wodotrysku, z razu skupione, rozproszyły się za nim po lesie i zdala otaczając, przedstawiały się w coraz nowych postawach z za zielonych gałęzi. Ilekroć podniósł głowę, wszystko stawało i twardniało, potem znowu poruszało i biegło jak cień milczący... Wśród zacienionych głębi ginęły i nikły białe postacie, a niekiedy promyk światła, wciskający się wśród liści, to twarz uśmiechnioną, to ramiona drgające oblewał. Zdawały się wyrastać z ciemności cudem i znikać w sposób niepojęty, ożywiać i martwić równo dziwnie i niespodzianie.

Gaj przytykał do skalistej zewsząd ściany, jakby w olbrzymie wschody połamanej i rozbitej; stopnie te nagie, gdzie niegdzie rzucone, winne ubierały latorośle... żadna ścieżka nie wiodła tędy w dolinę i Cezar mógł spokojnie bezpieczny błdzić w zaczarowanym swym świecie.

Szedł też powoli, chcąc zapewne ukryć boleść trawiącą raczej, niż się widokiem swawolnych nacieszyć obrazów; stawał i oko jego wydęte, osłupiałe, zatrzymywało się długo, nieruchomie poglądając na przedmioty, nie widząc nic przed sobą, tak silne wewnątrz piekły go męczarnie... Zacięte usta tylko o tém świadczyły.

Nagle, podchodząc ku ścianie, pod którą wiła się ścieżka, oko jego, lepiej w ciemnościach widzące niż we dnie, skierowało się w jedno miejsce przymroczone, w którym widać było dwie nieruchome postacie.

Nie należały one do tego igrzyska, gdyż ciemnymi okryte były szatami, stały ukryte umyślnie; ale wśród cieniów nocy, twarz kobiety i mężczyzny kocim oczom starca stała się wyraźną. Tyberyusz, dostrzegłszy ich, stanął zdziwiony, przerażony i mimo wielkiej mocy nad sobą, z przestachem krzyknął głosem drżącym:

– Agrippina!

W téjże chwili zjawisko niespodziane, na odgłos rozlegający się wśród ciszy, usunęło się nagle i znikło w głębi groty, na której tle chwilę się tylko ukazało...

Tyberyusz stał niemy... w około niego już znowu przesuwwały się grupy swawolne, on nic nie widział, jakby w miejscu przykuty. Klasnął w dłonie... Priscus przyskoczył uradowany, ale postrzegłszy brew chmurną i wargi ściśnięte, stanął przełękły.

– Priscus... tam! tam! – wskazał mu ręką na grotę – obce twarze, jacyś ludzie... mężczyzna i kobiéta... widziałem ich, weź ludzi i szukaj.

Sługa nie zrozumiał.

– Widziałem tu obcych, nigdzie nie jestem bezpieczny... kobiéta! zkąd tu ta kobiéta? chcę ją zobaczyć z blizka... kto ona?

I wnet, na skinienie Priscusa, niewolnicy rozbiegli się po wszystkich doliny zakątach.

XIV

Wiemy już w jaki sposób rodzina Hebreów, wygnana z Rzymu, z kilką tysiącami współbraci, dostała się na Capreę. Okręt, który ją przewoził na wyspę odludną i walkę a raczej niechybną zgubę, zapędzony wiatrem i burzą pod skały, musiał się w lichy zatrzymać przystani. Juda z przebraną Rachelą i Rubenem, dostali się nocą na wybrzeże wyspy, wraz z innymi posłanymi po wodę, i skorzystali z ciemności i nieuwagi stróżów, by uciec w głąb, naówczas jeszcze dopiero przez Sejana przygotowującego się ustronia, którego mieszkańcy, rozpędzeni przez tłumy niewolników rzymskich, błakali się, nowych sobie szukając kryjówek. Sami zbiegi i wygnańce, wśród tego ludu nieszczęśliwego znaleźli się jak między swemi... Judei, długim pobytom w Rzymie i skrywaniem swego pochodzenia, wyuczeni języka i obyczajów rzymskich, nie łatwo w tłumie najróżniejszych przybyszów poznaniami być mogli; nie szukano też ich wcale, sądząc, że w walce jakiej i zamieszaniu ubici byli. Rysy ich twarzy nic nie mówiły, gdyż ówczesna ludność Rzymu tyle w sobie pochłoneła pierwiastków, z tak różnych złożona była żywiołów, że pełno w niej piętn i znamion wszelakiego plemienia spotkać było można, niejako już przyswojonych wyzwoleniem obywatelstwu rzymskiemu. Juda, żona jego, Ruben, mówili po rzymsku i grecku, wszystko troje przez stosunki z alexandryjskimi żydami, ukształceni byli i starli z siebie znamię wybitniejsze, które ubogich jedynowierców ich zdradzało. Pozostała w nich pochodzenia pamięć, przywiązanie do nieznanej ojczyzny i wiary, ale już na pół stali się przybranymi dziećmi wielkiej świata stolicy.

Pierwsze dni pobytu ich na wyspie, po odejściu okrętów, ciężkie były do przebycia; trzeba się było ukrywać w skał szczelinach i mrzeć głodem, dopóki podejrzenie padać mogło, że zbiegli z naw burzą zagnanych. Nie znali wyspy, nie przywykli byli do życia takiego na codzienne niebezpieczeństwo, na nieustanną a twardą narażonego pracę; ale Juda znalazł w swém przywiązaniu do Racheli siłę ku pokonaniu najcięższych prób losu. Gdy Ruben płakał jak pieszczone dziecko, on pierwszy wyszedł z kryjówki i ostrożnie począł zapoznawać się z wyspą, na której mieli pozostać.

Z wierzchołka skał o świcie rozpoznał jej rozległość i oswoił się z położeniem najzamieszkańszych części, których unikać musieli.

Nauczył się chodzić po nad brzegami przepaści, i poszukując owoców, którymi przez pierwsze dni karmić się musieli, doszedł przypadkiem do opustoszałego domku, mającego być ich mieszkaniem.

Zwaliska te pozostały nie zajęte od dawna po zmarłym jakimś mieszkańcu Caprei, którego kościotrup tylko, resztkami płaszczą na głowę zarzuconego okryty, znalazł Juda w atrium chwastami zarosłem.

Znać było, że domostwo lat kilkadziesiąt stało pustkami, bujnie porastały je rozkrzewione bluszcze, zdziczałe winne latorośle i rozgałęzione szeroko drzewa...

Stado koz pierzchliwych kryło się jeszcze pod skałą, która je dawniej chroniła.

Kątek ten był jakby darem Opatrzności dla Judy, który tam zaraz Rachelę i Rubena przeprowadził, a sam zajął się oczyszczeniem zwalisk i doprowadzeniem ich do mieszkalnego stanu. Mały węzełek, z resztką z Rzymu ocalonego mienia ubogiego, rękopism biblii nie cały, strój odświętny mieli z sobą szczęściem wychodząc z okrętu, bo Juda o ucieczkę zamyślał. W domu zmarłego człowieka, po którym nikt nie wziął dziedzictwa, znalazły się zachowane w izdebkach potrzebniejsze sprzęty i narzędzia, choć rdzą okryte i na pół spruchniałe. Z nich Juda wybrał, co godziwszego było, do użytku i wprędce chatka stała się prawie wygodną, a dolina w której była zamkniętą, dostarczała na pierwsze życia potrzeby oliwy, owoców i wina...

Nieopodal od podnóża gór najdzikszych, na wybrzeżu morskiem była uboga osada schronionych tu od niedawna mieszkańców Caprei, którzy dla nowo budujących się willi ustąpić musieli; tam niekiedy ostrożnie, mieniając się do dworu Cezara należącym niewolnikiem, schodził

Juda, by co mu brakło dostać dla żony i siebie. Niekiedy najmował się do robót i przenoszenia ciężarów, obracał młyn, wyciskał oliwę, aby zarobić na garść mąki, której inaczej dostać nie mógł.

Życie to było prawie znośne, mimo osamotnienia, i stałoby się z pomocą dorastającego Rubena coraz lżejszym, gdyby nieszczęśliwy traf nie pozbawił ich brata i towarzysza. Przed dwoma laty chory Juda wysłał do osady, o której wspomnieliśmy, Rubena, – Ruben nie powrócił do domu.

Priscus, poszukujący chłopiąt i dziewcząt dla zabawy Tyberyusza, zwiedzał wszystkie zakątki Caprei; trafił on tu właśnie w dzień, gdy dzieciak się tam znajdował. Nadzwyczajna piękność chłopaka, jego układ, wdzięk twarzy były dlań wyrokiem niewoli.

Słudzy Tyberyuszowi pochycili go natychmiast, a Priscus kazał uprowadzić do swoich Efebów szkoły, gdzie teraz zamknięto wyrostków do niecnej przeznaczonych rozpusty. Tu Ruben oddany został w ręce starego Dionizjusza Greka, który go biciem, strachem i głodem znękał i zmusił stać się istotą słabą i spodloną... jaką go już widzieliśmy. Ruben chciał zrazu umrzeć a nie mógł; w miękkiej atmosferze tego domu swawoli dzieciak utracił hart duszy i tyle tylko wymógł w sobie siły, że pytany i badany o pochodzenie, nie wydał ani brata, ani rodu, ani kryjówki tajemnej. Miano go za Greka, i Tyberyusz sam nazwał go imieniem Hypathosa, oznaczającym Consula, dając poznać przez to, że go na równi z najdostojniejszymi szacował.

Długo Juda i Rachel płakali nad nim jak nad umarłym, dowiedzieć się nie mogąc co się z nim stało; nareszcie wieść ich doszła, że pochwycony był na dwór Cezara... na drugiego Ganymeda wrzodowaciącego Jowisza.

Boleść ich była wielką; Rachel bolała nad nim rzewnie, domyślano się, że umrzeć musiał w rękach oprawców, lub opierając się im, jak inni, z połamanymi goleniami w morze został rzucony. Tymczasem Hypathos żył i rozkwitał na tę smutną a piękną istotę, której boleść i łzy może dla rozbestwionego starca wdzięku jakiegoś dodawały. A choć się brzydził otaczającą go rozpustą i życiem pogan, młody chłopak mimowolnie uległ codziennemu wpływowi ich i zaraźliwym zepsucia widokom. Dusza jego zmiękała, serce zniewieściało, zabył nauk surowszych i pogodził się z temi dniami pieśczeniemi próżnowania i spoczynku, w jakich nowe pędził życie. To, co go z razu oburzało najmocniej, powoli stawało się coraz obojętniejszym, prawie naturalnym i koniecznym. Płakał ukradkiem, ale do surowszej pracy z Judą i do dawnej kryjówki nie miał już siły powrócić. Obawiał się też, by poszukując Cezarowego ulubieńca, nie znaleziono brata i Racheli, której młodość i piękność byłyby zgubą niechybną. Cokolwiek swobodniejszy później, przybiegał do znanego kątku i wyrwał się do swoich, ale nie myślał pozostać już z nimi; powracał nazad na dwór Tyberyusza, by tęsknić tam znowu, ze spuszczoną siedząc głową. Słuchając śpiewów, patrząc na rozwiązłe obrazy, powoli dał się usidlić czarom tego pogańskiego rozmiękczenia; śpiewał sam te pieśni greckie, grał na lutni i nieznane jakieś żądze rozbudzały się w jego piersi. Powracając do Judy i Racheli, poglądał na bratową nie okiem brata, ale chciwą rozpustnika żrenicą, zazdrośnym wejrzeniem rozkochanego, rumienił się kryjąc swą żądzę i rwał ku niej, nie umiejąc walczyć ze złem, które weń wszczepił widok powszechnej swawoli.

Ale pomimo téj zmiany w duszy i rozbestwienia, Hypathos nie przywiązał się ani do ludzi, którzy go otaczali, ani do starego Cezara, co w nim kochał tylko piękne kształty posągu greckiego; owszem, nienawiść jego dlań coraz się pomnażała i rosła; czując własne upodlenie, im je przypisywał. Wiara dawna w jednego Boga nie zgasła w nim jeszcze, przywiązanie do podań rodzinnych odzywało się silnie i wywoływało łzy i niepokoje, z którymi pod dach Judy przychodził. Pragnął on i wyglądał śmierci człowieka, który go uczynił narzędziem rozpusty i igraszką, ale zarazem powrót do nędznego życia dawnego zdawał mu się straszny i niepodobny... Najdziksze myśli snuły się po rozmarzonej głowie dziecka, które, upojone cudzym szałem, pół dnia było pogańską ludzi zepsutych zabawką, pół męczennikiem i wygnańcem.

Dwie postacie ludzi nieznane, które wzrok Tyberyusza w cieniach nocy wysledził, dostrzegł i skryty w gaju Hypathos, który dnia tego młodego Fauna rolę miał w posągowym igrzysku. Dla niego także przerażające to było zjawienie, poznał bowiem w grocie Judę i Rachelę; uczył na jakie

narazili się niebezpieczeństwo, a myśl, że piękna bratowa może wpaść w ręce Priscusa, rozplomieniła go straszliwie.

Niepokój i pragnienie zemsty ogarnęło go jakies tak, że z gaju wyszedłszy, leciał jak szalony, sam nie wiedząc dokąd bieży, aż niewolnicy, śmiejący się z tego Bachusowego szału, powstrzymali go, bojąc się, by gdzie ze skał nie upadł i nie zabił się.

Jakim sposobem tych dwoje tak ukrywających się wygnańców, zjawili się przed Cezarem w chwili zabawy i nastreczyli jego oku, tego Hypathos pojąć nie mógł i zrozumieć nie umiał. Było to dziełem dziwnego przypadku. Skały otaczające dolinę, zewsząd ją prawie prostopadłą ścianą opasywały, lecz liczne w nich, naumyślnie porobione i naturalne pieczary, które trzęsienia ziemi powiększyły, kryły się wpośród zarośli. Niektóre z nich, zawalone bryłami kamieni, zdawały się nieprzystępne, choć głęboko w góry sięgały; były to pierwsze mieszkańców tutejszych kryjówek, schronienia Teleboów i Osków.

Tego wieczora Juda z Rachelą, chcąc świeżem nocy odetchnąć powietrzem, a nie wiedząc o bliskości doliny i gaju Wenery, zapuścił się ścieżynką dziką w głąb wyspy, korzystając z milczenia i snu, który ich otaczał. Nagle, w chwili gdy się sądzili bezpieczni, śmiech tłumu ludzi, niewolników Tyberyusza, przeraził ich i zmusił skryć się do nastreczającej o kilka kroków groty, dokąd ich swawola gawiedzi ścigała. Zapuszczając się coraz dalej, znaleźli w ciemnym przejściu, i wbiegli niemi aż na dolinę, stając mimowolnymi świadkami widoku, zatajonego dla świata, na który kilku tylko wybranym patrzeć było wolno.

Tyberyusz osłupiał na widok kobiety, gdyż twarz Racheli przypominała mu rysy jednej kobiety, którą w życiu ukochał, Agrippiny, odebranę mu dla chwilowej fantazyi Julii, co życie jego zatrąła.

Może cień nocy, może myśl własna i uciekające w starcu zgrzybiałym ku młodszym latom wspomnienia, uczyniły dlań tę twarz pięknej Racheli dziwnie podobną do dawno straconej żony; ale przypomnienie było tak uderzające, że zapomniawszy swęj powagi, wyciągnął ręce, wykrzyknął imię, które dawno zabyły usta.

W najzepsutszym człowieku jest czasem iskra jakaś serdeczna, tlejąca w popiołach... tą iskraw było w nim przywiązanie do Agrippiny, przechowane w piersi, która już nikogo nie umiała kochać, w człowieku, który po matce nie płakał, szydził ze śmierci własnego dziecięcia, ludźmi pogardzał i zazdrościł losu Priama, co wszystką swą przeżył rodzinę.³⁶

Priscus, wysłany natychmiast, zebrał swe sługi i postanowił całą wyspę splondrować, aby wykryć winowajców...

Tyberyusz jednak po chwili zamknął w sobie uczucie i z weselszém obliczem, jakby się nic nie stało, powoli wyszedł z gaju, dając znak skończenia zabawy, a zastawienia nowęj uczyty w willi Jowisza.

Często tak u starożytnych następowały one jedna po drugiej, w krótkich czasu przeciągach, a smakosze ówczesni umieli się uwalniać od pokarmów i napoju, ażeby kilkakroć na dzień z nowym głodem zasiąść do stołu i czaszy.

I wszystek dwór Cezara śpiesznemi kroki, poprzedzany przez tancerzy i flecistów, posunął się na góry do willi Jowisza.

³⁶ zazdrościł losu Priama, co wszystką swą przeżył rodzinę – Swetoniusz [Żywot Tyberiusza 62]. [przypis autorski]

XV

Po wieczorze w gaju Wenery i drugiej uczcie w willi Jowisza, nazajutrz już niczym oczom nie ukazał się Cezar; zamknął się w niedostępnych swych izbach, których wniściami wierni strzegli niewolnicy, odepchnął codziennych towarzyszków i najściślejszą tajemnicą otoczył. Najbliżsi nawet odgadnąć nie mogli co się działo w jego myśli i sercu; list tylko do senatu wysłany mówił o wielkiej jakiejś boleści:

– „Co wam napiszę, ojcowie? jak do was mam pisać? lub czego nie pisać w tej chwili? – odzywał się Tyberyusz w swym liście – jeśli wiem, niech mnie bogowie gorzej nękają i męczą, niżeli ja sam codzień ginąc dręczonym się czuję.”³⁷

Milczenie i zamknięcie się Cezara, nie tylko dwór jego i Capreę, ale Rzym napełniały strachem; nikt przyszedłszy jego woli do badać nie mógł, nikt odgadywać nie śmiał. Senat wahał się i zwłóczył z prześladowaniem rodziny i przyjaciół Sejana, zgadywał, wstrzymywał się, lękał. Cień oddalonego Tyberyusza stał przed oczyma senatorów, i zdala osłonięty tajemnicą, straszniejszym się wydawał od samego Sejana.

Na miejscu jego, prawa ręka Cezara, Macron, objąwszy dowództwo pretoriańskich straży, wierny panu lub zdający się mu ślepo posłusznym, odmówiłszy z bojaźni czy rachuby wszelkich honorów po odniesionym zwycięstwie, – trząsł stolicą przerażoną...

Macron był dotąd jednym z najoddańszych Tyberyuszowi: nikt po upadku Sejana posądzać go nawet nie mógł o zdradę, przecież zetknięcie z władzą już ją w duszy jego zrodziło. Stan tego społeczeństwa zgniłego był taki, że w nim już poczciwsze uczucie powstać nie mogło, leżały się tylko przecherstwa i niewdzięczności. Czuł to stary Tyberyusz i drżał nie ufając nikomu; codzień też mnożyły się ofiary daremne, z których tylko krwi powstawały nowe nienawiści, pomsta i zdrady.

Zaraz po zabiciu Sejana, syn jego starszy został na Gemonije zawleczony i ubity, stryj Junius Blessus ukarany śmiercią, żona listem pozdrowiwszy Cezara, sama odebrała sobie życie, córkę kat zhańbił przed zgonem; kolej przyszła na przyjaciół, na klientów, na cały ten tłum podły, który pragnął choć szat jego dotknąć w dniach pomyślności, a dziś się go już zapierał. Rzym naówczas ujrzał napełniające się więzienia ludźmi wszelkiego stanu, płci i wieku, senatorami, rycerstwem, kobietami, dziećmi, wcześniej napiętnowanymi na stracenie. Część ich znaczna, nie czekając wyroku śmierci, dla ocalenia majątkości, sama sobie śmierć zadała.

W krwawych tych dziejach są przykłady i wielkiego spodlenia i wielkiej jeszcze cnoty stoickiej, mężstwa i ostatecznego znikczemnienia.

Jedni zdradą i wyznaniem chcieli wykupywać się śmierci, drudzy przyjmowali ją jak wybawienie od życia nieznośnego.

„Co najstraszniejszym było w tych oplakanych czasach, powiada Tacyt to, że najpierwsi nawet z senatu najpodlejszemi delacyami się trudnili, jedni otwarcie, inni skrycie. Wydawali swoi i obcy, przyjaciele i nieznajomi, za stare winy i świeże uczynki. O czémkolwiek, gdziekolwiek mówiono, na Forum, na biesiedzie, wnet donoszono; wyścigali się jedni przed drugimi z delacją, zapewniając sobie środek obwinienia, jedni dla własnego bezpieczeństwa, drudzy jakby jakąś pochwycony zarazą”³⁸

³⁷ *Co wam napiszę, ojcowie? (...) ja sam codzień ginąc dręczonym się czuję* – w Tacycie i Swetoniuszu jednakowo przytoczony ten ułamek [Swetoniusz, *Żywot Tyberiusza* 67; Tacyt, *Roczniki* VI 6]. [przypis autorski]

³⁸ *Co najstraszniejszym było w tych oplakanych czasach, powiada Tacyt (...) wyścigali się jedni przed drugimi z delacją (...) jakby jakąś pochwycony zarazą* – Tacyt VI, 7. [przypis autorski]

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.